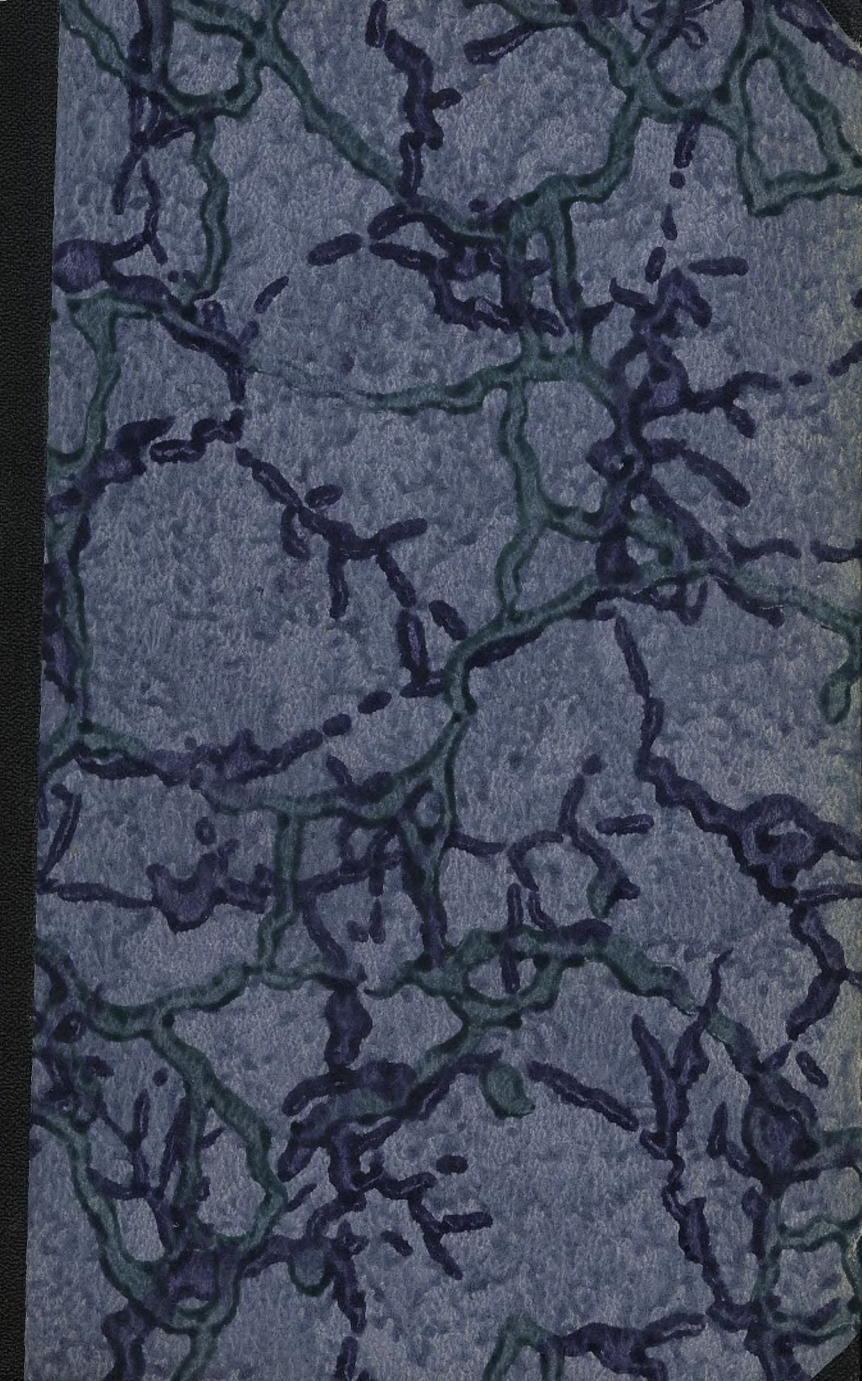
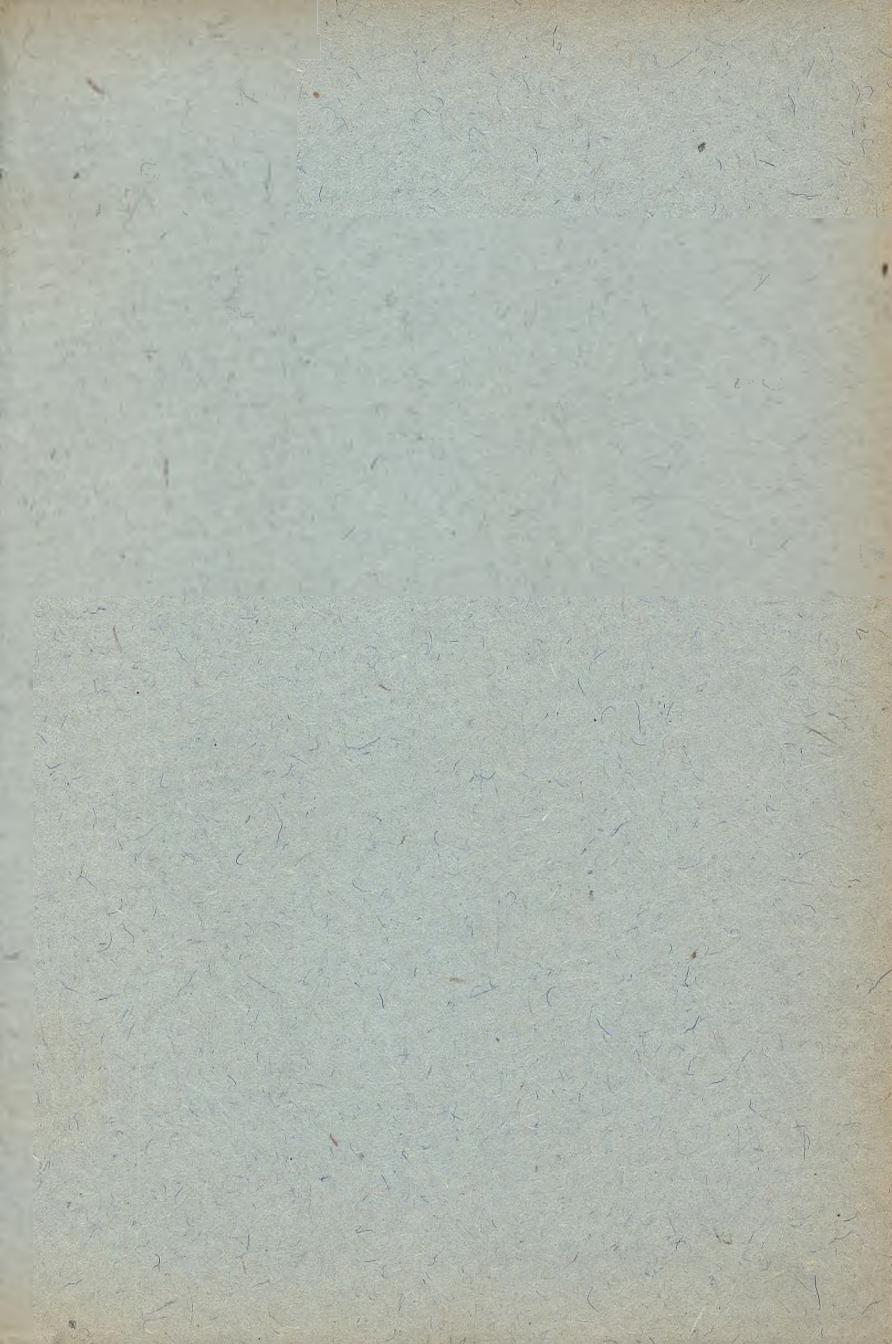
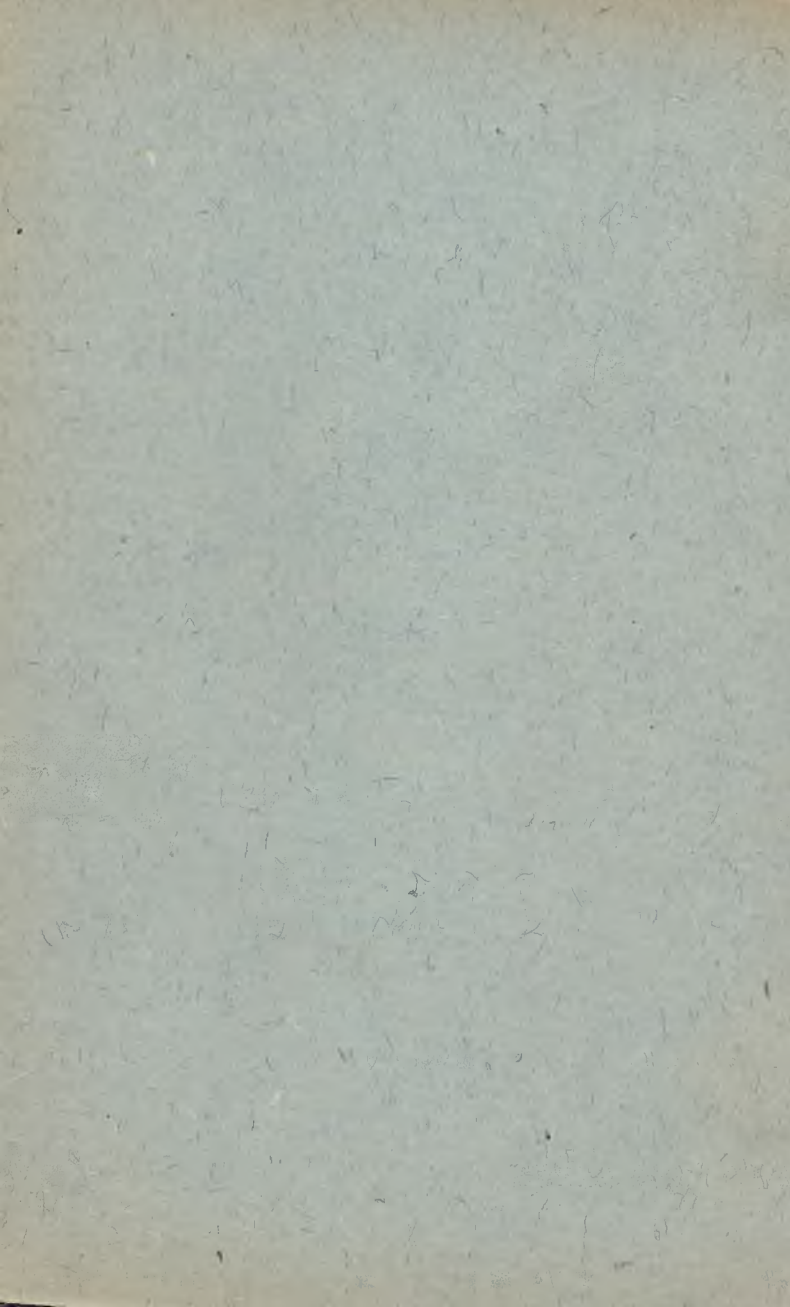








PASKARECZKA



TEGOŻ AUTORA:

Świty	Powieść. 1911 (Wyczerpane)
Wędrowiec	Nowele. 1912 (Wyczerpane)
Żołnierka	Nowele i dramat. 1913 (Wyczerpane)
Krwawe Drogi	Utwory legionowe. 1916 (Wyczerpane)
Juljusz Syreń	Powieść. 1918 (Wyczerpane)
Siostra Marja	Opowieść. 1921

Z Y S Ł A W A:

Szydłem i Kropidłem	Feljetony satyryczne. 1921 (Wyczerpane)
Szydłem i Kropidłem	Feljetony satyryczne. Serja druga. 1922

SKŁADY GŁÓWNE: — Lwów: H. Altenberg
Łódź: Ludwik Fiszer — Poznań: Fiszer i Majewski
Wilno: Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego
Kraków: S. A. Krzyżanowski

ZYGMUNT KISIELEWSKI

PASKARECZKA

N O W E L E

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS” S.A.
TORUŃ W A R S Z A W A SIEDLCE

LP 19 a
406485
I

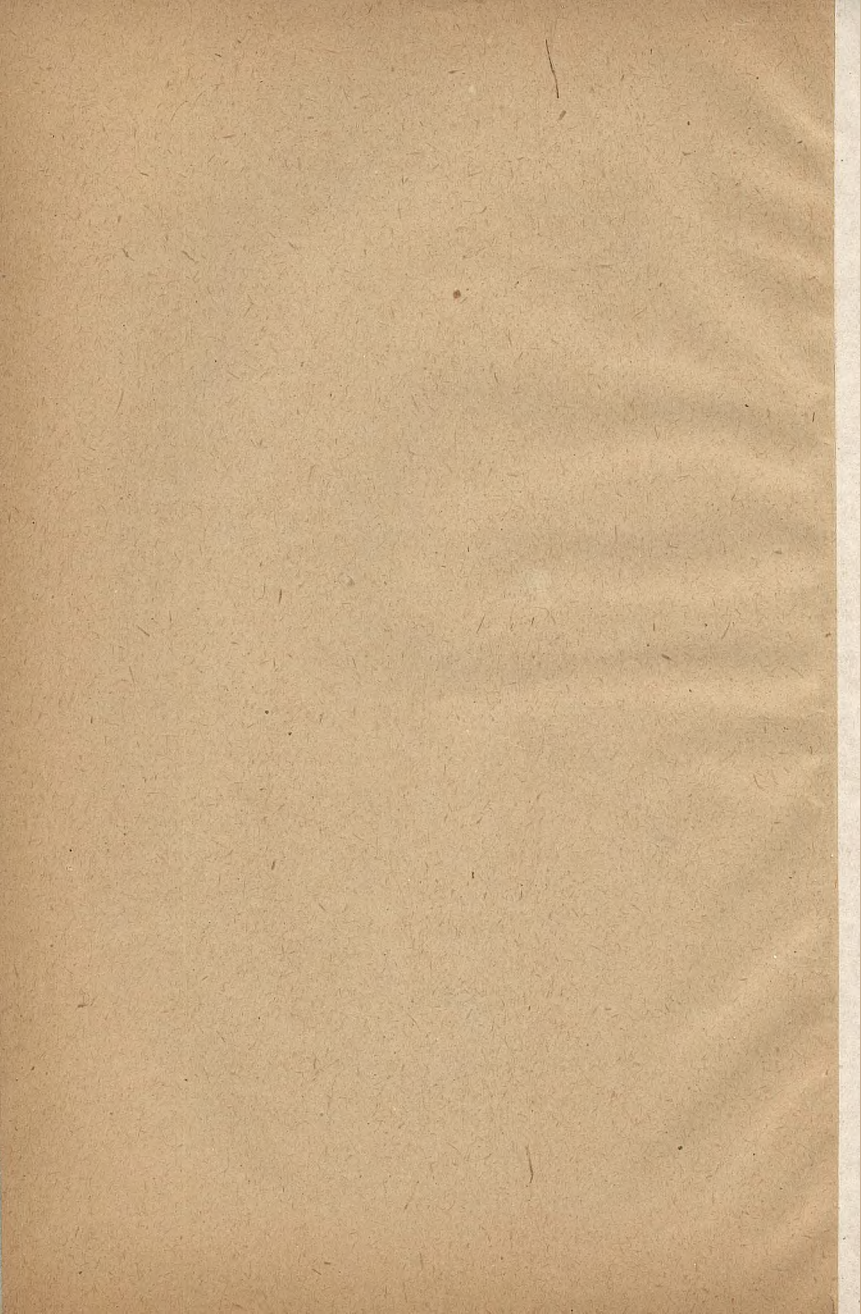
Odbito 3200 egz. na papierze zwyczajnym w „Drukarni
Krajowej“ W. Krawczyńskiego i E. Egerta
w Warszawie 1922 r.

2354

K-45/6446
9.6. 30,-



PASKARECZKA



I

Pan Zenon Rutkiewicz właśnie zasiadł do obiadu. Sprawa ta zawsze miała w sobie coś uroczystego, ale w czasie wojny powaga jej przyjęła formę niemal obrzędową. Albowiem chociaż pan Rutkiewicz, jako właściciel wcale zasobnego sklepu towarów bławatnych, nie stracił nic na wojnie, owszem zyskał, to jednak, ponieważ wszyscy naokoło na drożyznę jęczeli, więc i on jęczał. Tedy, pogłodziwszy brodę okazałą, sięgnął po kieliszek stareczki (przechowywanej w wielkiej tajemnicy), wypił i zabrał się do powolnego spożywania zakąski.

— Możebyś napiła się, Zosiu? — rzekł do żony.

— Wiesz o tem, że nie piję—odpowiedziała machinalnie, lecąc dokądś smutnem spojrzeniem.

— Ano, prawda, że nie pijesz — kiwnął głową, z góry widząc przygotowany na odpowiedź żony.

Sięgnął po drugi kieliszek, ale gdy napełnił trzeci i ostatni według surowo przestrzeganego regulaminu, kiedy go już podnosił do ust, oczy mając ciężarne i poważne, jak tego wymagała chwila — rozdarł powietrze raptowny brzęk dzwonka. Pani Rutkiewiczowa drgnęła i z naprężeniem zwróciła oczy w stronę drzwi od przedpokoju. On zaś z widoczną niechęcią odjął kieliszek, już już dotykający warg, ostrożnie postawił go przed sobą i groźnie spojrzał na drzwi.

— K'czortu! Nie dadzą człowiekowi nawet spokojnie zjeść obiadu.

W przedpokoju rozległ się żywy, młody głos i wrzaskliwe a radosne okrzyki służącej Magdaleny.

Pani Rutkiewiczowa zawołała: „Boże, Karolek!” Zerwała się biec do przedpokoju, lecz małżonek zmarszczył czoło i rzekł głosem człowieka nawykłego do rozkazów: „Siedź!”

Ku jego zdumieniu żona jednak nie usłuchała. Ściągnął zatem brwi i zacisnął w złości dłoń, lecz zorientowawszy się, że nikt nie będzie go ani słyszał, ani słuchał, położył obie ręce na obrus i czekał, zlekka tylko głaszcząc dłońią długą brodę.

W drzwiach przedpokoju trzymała pani

Rutkiewiczowa w objęciach młodego chłopaka w mundurze legjonowym. Wśród łkania słychać było tylko wyrazy oderwane: „Dziecię! — synku! — Karolku! Tyle czasu! Niewdzięczny chłopcze! Taki wyschnięty! Czyś zdrow, mój maleńki!?”

Obok niej kręciła się w popłochu Magdalena, plaskając w ręce, dokumentnie oglądając chłopaka i jego mundur i wykrzykując również ze wzruszenia od czasu do czasu: „Chłop już, ino go żenić”. — „Widzicie, przy siabli i z kutasikiem!” „Myślałam, że to jaka „powiestka” od śwabów, a to, panicz, o Jezu!”

Nareszcie uwolnił się z objęć matki, mówiąc:

— Niechże mama pozwoli mi przywitać się z ojcem.

Zwawym krokiem zbliżył się do ojca, siedzącego wciąż sztywno, jak senator z tektury, wprost objął go za szyję i pocałował.

— Nie gniewaj się, stary! — mówił żartobliwie rzewnym głosem. Uciec musiałem, boście mnie nie chcieli puścić. Teraz już niema o czem gadać i bez pater-nostrów, jeżeli ojciec nie chce, żebym się zaraz wycofał na stanowisko z góry przygotowane.

Ojciec stropił się zupełnie. Jego ojcowska godność i powaga kupca szanowanego, jego poglądy cierpiały dotkliwie z powodu

ucieczki syna do Legjonów, co uważał za hańbę i osobistą obrazę. Porozumienia z synem nie wyobrażał sobie inaczej, jak po ukorzeniu się chmyza i poddaniu na nowo srogiej patria potestas. Tymczasem Karol wrócił i nie tylko nie okazywał skruchy, ale „pozwała sobie“ takim tonem! Więc Rutkiewicz nakrochmalił się jeszcze więcej, lecz ze złością stwierdził w sobie bezsilność wobec chmyza: „Dlaczego, k czortu, nie zdobywa się na jakiś odpowiedni do momentu gest, dlaczego napróżno szuka słowa, któreby wskazało smarkaczowi niewłaściwość tego zachowania?“ — Takie myśli gryzły pana Rutkiewicza.

— Nie będę się z ojcem kłócił o poglądy. Dyrdymalki. Ojciec jest za stary, żeby iść do okopów, i co tu więcej strzepić język. Naturalnie, gdyby ojciec koniecznie chciał pójść, tobym ci miejsca w mej sekcji nie odmówił...

Rutkiewicz zżymał się w sobie coraz gniewniej. Równocześnie jednak zjawiała się w jego świadomości myśl, nieprzewidziana w rubryce: „syn mój Karol“, że ten smarkacz, smyk, młokos i on, jego ojciec, są dwoma ludźmi dojrzałymi, dwoma panami o nazwisku Rutkiewicz. A jeszcze bardziej zdumiało go uczucie przyjacielskie, którego nie mógł zgnieść, ba — nawet uczucie dumy,

gdy Karol żartował sobie i z taką swobodą wspominał o jakiejś głupiej sekcji.

— Przebierasz miarękę—wyrzekł nareszcie, ale słowa te pozbawione były niezbędnego nacisku, skutkiem czego chybiły efektu.

— Niech mnie ojciec pocałuje! — odpowiedział na to szelma chłopak.

— O tak, i jeszcze raz! Mamo, wódki na zgodę!

— Karolku, ty pijesz?—załamała matka ręce, śmiejąc się zapłakanemi oczami.

— Żeby tylko było co!

— To ty jesteś, Karolku—mój Boże!—uprzytomniła sobie matka swe szczęście. — I nic ci nie brakuje, mów! — Biłeś się na prawdę, co?

— Mama pewnie myślała, że to zabawa w wojsko?

— Strzelałeś?

— No tak, mamó.

— I do ciebie też...

— Jeszcze jak!

— Ale ci nic?... Bój się Boga!

— Raz mnie tam kulka ukaśiła w rękę...

— Jezus Marja! Gdzie? — Karolku, dziecko moja, jedynaku mój, kulka, gdzie?

Karol, śmiejąc się, ściągnął bluzę z prawego ramienia, zawinął rękaw koszuli i wskazał na białawą bliznę.

Matka obejmowała okiem to białe zna-

mie, którego jeszcze na ciele syna nie знаła i lzy jej kapały na to miejsce. Delikatnie dotknęła końcem palca i zapytała: — boli?

— Mamusia też! To było pół roku temu, wygoiło się w szpitalu polowym.

Matka, widocznie ze wzruszenia, wzięła syna znowu w objęcia i jęła całować, od tej blizny zacząwszy, jakby chcąc sprawdzić ustami, że to jej syn, cudem ocalony, ten sam, którego nosiła w łonie, którego karmiła, hodowała...

— Mój synuś, mój Karolek, Karoleczek...

— No, mammo. Jak można pieścić takiego chłopca.

— Tyś dla mnie wciąż dziecina, Karolku...

— Dość, mamusiu — wywijał się delikatnie z uścisków. — Jestem i koniec. Cieszcie się, że tam gdzie ziemi nie gryzę...

— O la Boga! — wydała jęk Magdalena.

— Do kuchni! — krzyknął na nią pan Rutkiewicz z pasją, skrupiając na służącej złość którą zmełł, w milczeniu zresztą, na synu.

— To rozumiem — rozkaz i basta! — parsknął Karol.

— Magdaleno jeść! Mamo, wódki!

Ojciec z pod oka przypatrywał się synowi, Karol był smukły, wysoki, niezbyt rozrosły jeszcze, lecz tryskający zdrowiem.

W twarzy jego spostrzegł ojciec z zadowoleniem podobieństwo do siebie, w kształcie czoła, w prostym nosie, w pięknie zakrojonych ustach z meszkiem już gęsto sypiącym się. Tylko oczy miał po matce, duże, o smętnej powłoce, lecz na dnie kipiące, mocne, zuchwałe. W ruchach śmiały i porywczy, pasował do obcisłego, siwego munduru. Inny jakiś, chociaż ten sam! — rozmyślał ojciec. To jedno pojął, że w ciągu tych kilkanastu minut syn wyslizgnął mu się z rąk i że w domu na nowych prawach obok starego zasiądzie młody pan Rutkiewicz.

Ale w czym tkwi przyczyna tej zmiany nieprzewidzianej, co zaszło takiego, iż nie sposób już odzywać się do tego ognistego chłopaka, jak przed rokiem do spokojnego, cichego, pokornego niemal Karolka — sztubaka, tego sobie nie mógł rozwikłać pan Rutkiewicz.

— Cóż, ojciec jeszcze się dąsa?

— Siadaj, siadaj!... zaprosił go stary i nalał kieliszek.

Tręcili się.

Rutkiewicz, gładząc wspaniałą brodę, zamysłone oczy obrócił ku sufitowi, wypił, poczem rzekł:

— Możebyś się napiła, Zosiu?

— Wiesz o tem, że nie piję...

Karol podskoczył na krześle, parszając

śmiechem. Rodzice patrzyli nań zdziwieni. Ale on rzucił się do nich, do ich rąk, i całując je mówił:

— Oj stary! stary! tak samo częstowaliście się wódką rok temu, gdy ja tu siedziałem, kryjąc bunt w sercu. I Magdalena ta sama. Na tej kanapie machałem kozły, a ta gruszka od elektryczności nie chciała nigdy pisnąć.

Co mówiąc, nacisnął gruszkę koloru czekoladowego, zwisającą od lampy.

— No piśnijże! — a nuż! — namawiał gruszkę, śmiejąc się, a śmiechowi jego zawtórowali szczęśliwi rodzice.

Po obiedzie ojciec udał się do swego pokoju na zwykłą drzemkę, ale pani Rutkiewiczowa nie opuszczała syna. Nie mogła się nań dość napatrzyć. Tajała z radości na dźwięk jego głosu, zachwycił ją jego sposób bycia, mundur, wszystko. Jeśli ojciec maskował swą dumę parawanikiem „poglądów“, matka wcale nie wdawała się w zażyłości polityczne. Dumna była z syna i uszczęśliwiona, że go widzi, że wrócił cały i zdrow, przekonana, iż syn jej musi czuć sprawiedliwie i uczciwie.

Teraz pragnęła tylko wnikać w tę przeszłość, pragnęła zapełnić całoroczną lukę, która tak niespodziewanie dla niej przeobra-

ziła młodzieńca w mężczyznę. Usiłowała jak najdokładniej uprzytomnić sobie te okoliczności dziwne, otoczone tajemniczością groźną i blaskiem. Czyniła to siłą odruchu, w przeświadczeniu, iż w razie przeciwnym odszedłby od niej duszą i zapomniał. Dawniej nawet nie doznawała potrzeby rozmyślenia o tych sprawach.

Pod jej pieczołowitą opieką, która przemieniła się w nałóg, rósł i rozwijał się, jak młody grzybek przy starym, więc potęga uczucia macierzyńskiego nie wyjawiała się w codzienności życia. Dopiero, gdy go utraciła, pojęła, że kocha go, jak siebie. Przez ten rok poznała męczarnie strachu, przerażenia i żalu do syna. Karol bowiem w ciągu pierwszego półroczu nie dał znaku życia o sobie, a potem pisywał wprawdzie co parę tygodni, ale krótko, donosząc tyle, że istnieje. Teraz ten żal wypłynął i raz po raz korciło ją, aby mu go wypomnieć, ale hamowała się, lękając się mącić harmonję, jaka od chwili przyjazdu zapanowała między nią a dzieckiem. To też nawet, gdy Karol zwrócił uwagę na to, że osiwiła, zbyła jego zapytanie byle czem. Dopytywała go tylko, jak się to wszystko stało, w jaki sposób uciekł, gdzie przebywał, kiedy był ranny i w jakich okolicznościach. Opowiadał jej wszystko dokładnie, z cierpliwością odpowiadając na jej

naiwne niekiedy zapytania. Dopiero wejście ojca przerwało ich pogawędkę.

Pan Rutkiewicz wybierał się w tym czasie do sklepu według odwiecznego trybu życia, który syn umiał na pamięć. Zapytał jednak.

— Dokąd ojciec idzie?

— Do pracy.

— A jakże teraz interesa?

— Jeśli panom wojakom zechce się bić jeszcze jakiś roczek, wszyscy pójdziemy z torbami.

— Prawdę mówiąc, to znowu takiej skrzypiącej biedy w domu nie znać.

— Takim smykom, jak ty, zawsze dobrze. Dawniej na nas troje wydawało się dwa, trzy ruble dziennie, dzisiaj i pięć razy tyle za mało.

— Jeżeli jest z czego pięć razy tyle wydać, to jeszcze nie najgorzej.

— Bajesz, Karolu, sam nie wiesz co — odpowiedział synowi opryskliwie.

Ale już pod drzwi zaprosił syna, mówiąc:

— Będziesz wieczorem w domu?

— Będę, ojcze.

Gdy się drzwi zamknęły, Karol rzucił przenikliwe spojrzenie na matkę.

— Ojciec wróci po ósmej, prawda?

— Tak, dziecko.

— Mamusiu droga, musisz mi pomóc...
w pewnej sprawie.

— Cóż takiego? — zaniepokoiła się.

Przysunął głowę do niej i rzekł:

— Przypominasz sobie, mamusiu, pannę Krystynę?

— Tę bladą blondynkę Zienkowskich?

— Tak.

— Mamusiu, ja dostałem urlop tylko na dziesięć dni...

— Mój Boże, tak krótko... a potem znowu wrócisz tam?

— Inaczej być nie może.

— Mamusiu, ja muszę ją dzisiaj zobaczyć, dzisiaj koniecznie.

— Tę pannę Krystynę?

— Dzisiaj. Dam Magdalenie list do Krystyny. Napiszę, żeby tu przyszła, jeśli mama pozwoli. W domu u nich nigdy nie bywałem. Trzebaby zrobić najpierw „wywiad“, ale na to niema czasu.

Pani Rutkiewiczowa ujęła głowę jedynaka w swe ręce:

— Ty ją kochasz, synku...

— Kocham, kocham... Ona życzyła sobie, żebym poszedł na wojnę i wrócił „bohaterem“, jak mówiła.

— I ty, dla niej...

— Nie, nie tylko dla niej, ale jej chęć

przyśpieszyła moje postanowienie. Mamusiu, ja Krystynę dzisiaj muszę zobaczyć.

— A ona ciebie kocha?

— Dobrze, matuchno?

— Dobrze.

— Droga moja, najśłodsza mamó! —
dziękował, całując jej dłonie.

II

Panna Krystyna Zienkowska na pierwsze wejrzenie wydawała się jeszcze dziewczynką. Jej mała twarzyczka blada słaniała się pod wysokim zawojem płowych włosów, a cała figurka giętka, wijąca się, tonęła w aksamitach i koronkach. Bure jej oczy kryły w głębi jakby zasępienie, któremu przeczyły drobne, dziecięce rzekłbyś, usteczka. Lecz szczególnie brzmiał i zaciekawiał jej głos o skali ubogiej, chwilami chrypliwy, najczęściej chłodny i przenikliwy, aczkolwiek cichy, prawie szeptany.

Skoro panna weszła, Karol odrazu zgubił szyk żołnierski i pewność siebie.

Poprosił ją do saloniku. Blaskiem drażniącym zabłysnął mu dość duży brylant błyskający w złotej oprawie pierścionka na jej palcu.

— Zbogaciłaś się — rzekł.

— A tak, tak — odpowiedziała, huśtając się na rozległej kanapie. Ale nie w tym celu

chyba zaprosiłeś mnie tutaj... bohaterze!... — podkreśliła ten wyraz ironicznie a zarazem serdecznie.

— Cały rok nie widzieliśmy się...

— Byłeś ranny?

— Tak, w rękę.

— Tylko? — Pokaż.

— Nie, niema co oglądać—oburzył się. Zmieniłaś się.

— I ty także. Pięknie ci w mundurze. Zwłaszcza ta błyskawica na szyi, jak srebrny sznur wisielca.

— Krysta!

Zaśmiała się, obrzucając go spojrzeniem z pod oka.

— Chodź bliżej — o tak! — siądź tutaj przy mnie. Cóż myślisz o mnie?...

— To samo, co przed rokiem...

— To ładnie. Kochasz mnie zatem...

Nie odpowiedział, tylko zadarł swą głowę młodzieńczą, pełną rozpędu i wpatrzył się w dziewczynę świecącym i zuchwałem okiem.

— I ja ciebie także troszeczkę—o tycio, tycio,—rzekła, musnąwszy jego oczy ustami. O tyle więcej, niż dawniej, sepleniała pieszczotliwie, dotknąwszy jego ust.

Zsunął się na kolana, objął ją i oparł głowę o jej nogi.

— Krysta, zwaruję.

— Lubię narwańców, kociaku mój! —
mówiła głaszcząc go po włosach. Bałeś się?

— Czasem bałem się.

— Brzydko. Ale nie uciekałeś nigdy?

— Nie pamiętam.

— Nie pamiętasz?

— W bitwie człowiek najczęściej nie wie, co robi i jak się zachowuje...

— A kulki to tak syczą...

— Rozmaicie. I syczą i świszczą i huczą...

— I każda zabija.

— O nie każda, ale każda mogłaby zabić.

— Zabić. O ty, mój bohaterze! — szepnęła, zaświeciwszy oczyma i podała mu usta. Jeszcze! — zasłużyłeś...

— Długo zostajesz!

— Zwaruję.

— Tylko nie tu.

— Na długo przyjechałeś?

— Na dziesięć dni.

— Dziesięć dni. Będziemy się bawić, hulać, Lolus. Jakże rodzice?

— Zmiękli.

— Masz pieniądze?

— Niewiele.

— Weź od rodziców, ile możesz. Ja się także postaram. Będziemy się bawić. Ach, nareszcie, nareszcie...

— Krysta!

— Co, bohaterze mój?

— Ten pierścień...

— Zaręczynowy, od głupiego, bogatego chłopca.

— Krysta! — syknął, zgrzytnąwszy zębami. Nie dręcz, ja już nie ten sam, co dawniej. Ten pierścień...

— Jesteś głupiutki, jak każdy zakochany bohater. A ten pierścionelek dostałam od stryjenki Różyckiej, której mąż zarobił na wojnie tysiące, setki tysięcy. Jeżeli Loluś będzie mi dokuczał, będzie mnie śledził, szpiegował, zazdrościł i tam dalej, to się nie bawię. Ja chcę kwiatów, szampana, wesołości!... Och nareszcie, nareszcie... Loluś, podobają ci się moje perfumy? No, powąchaj, tu, wyżej... mocniej... jeszcze... luby bohaterze!

— Chodź!

— O nie, nie tutaj. Złożysz mi wizytę jutro o czwartej. Przedstawię cię mamie. Mam teraz zupełną swobodę. Potem pojedziemy do miasta, do teatru. Muszę pochwalić się przed ludźmi moim rycerzem. Potem, potem... ci... ci... cichuteńko... na kocich łapkach do mnie... ach! Masz rewolwer z sobą?

— Mam. Pocóż rewolwer?

— Gdy rycerz bawi z kochanką, broń powinna wisieć nad łóżkiem...

— Z kochanką, Krysta? Ty masz być

moją żoną, będziesz moją żoną? Ja wkrótce idę do szkoły podchorążych. Jestem śmiały, zdolny, pójdę w górę...

— Żoną twoją? — zaśmiała się. Dlaczegożby nie? — pomyślimy jeszcze...

— Krysta, nie żartuj!

— Ja nie żartuję — ale jeszcze mamy czas... prawda? Zresztą, o co ci idzie... jeśli... jeśli... będziesz mnie miał?

— Nie. Ile razy myślałem o tobie, wyobrażałem sobie, że ty jesteś przy mnie zawsze i na zawsze, na wieki, do końca świata. Czuję to, że ty w życiu zapewnisz mi coś we mnie, co daje wielkość, potęgę...

— Bardzo pragnęłabym być panią Napoleonową, ale o tem jeszcze pomówimy. Nie psujmy sobie szczęścia... tymczasem. Życie jest króciutkie. Ty możesz otrzymać kulę nie w ramię, a tu — rzekła wskazując na serce... — a ja wciąż pokasłuję. Doktorzy każą wyjechać, bo podobno grożą mi suchoty...

— Co ty mówisz?!...

— Nie przerażaj się, jeszcze jakiś czas pożyję. W każdym razie mamy dla siebie te dziesięć dni.

Zeskoczyła z kanapy i, klasnąwszy w ręce, padła nań całą długością ciała, zatapiając go w powodzi koronek, zapachów, pocałunków, lecz zanim ocknął się z odurzenia, już była przy drzwiach.

— Adje! Jutro u mnie. Tylko nie spóźnić się.

Skoczył za nią, lecz ona już ze śmiechem wymykała się do przedpokoju.

Za chwilę już jej nie było.

Karol wrócił i usiadł na tem samem miejscu, gdzie przedtem siedziała. Był upojony. Myśl nie mogła się zatrzymać na jakimkolwiek stałym punkcie. Jak w górach z poza kłębow mgieł błyszczy w dole promienista tarcza jeziora, podobnie w jego duszy z poza duru uczuć i splątanych myśli, jaśniała w samej głębi radość. Jeśli przeleciał cień jakichś podejrzeń, ginął wnet pod wirum rozkosznych wspomnień, roztopiał się w płomieniach, bijących z rozgorzałych zapowiedzi na dzień jutrzejszy. Ogarniało go dobrze znane żołnierzowi oszołomienie, upicie ducha, gdy każda myśl i rozsądek znikają, a trwa jeno żądza pędu i szal potęgi, miażdżącej odruch powściągliwości lub rozważli. Tak i teraz stanął nad otchłanią równie stromą i tak samo nęcącą, jak otchłań bitwy. Wznoszą się z głębi istoty fale rozmarzające niby dymy ziół czarownika, osnuwają i kołyszą mózg, wprowadzając w błogostan, który zaciera granice między zjawą i snem, życiem i śmiercią, przenosząc duszę za granicę pojęć, w dziedzinę bezmyślną i pozauczuciową.

Matce, gdy weszła, wydało się, że jednak jej śpi. Dopiero jego ruchy niespokojne i westchnienia przekonały ją, że tak nie jest. Musiała jednak trącić go ręką, żeby skoczył na równe nogi, rozglądając się naokoło, jakby spadł z księżycy. Twarz jego blada była teraz, jakby zamknięta w jeden wyraz namaszczenia.

— Ach, to mama... szepnął.

— Co ci, synku?—pytała coraz bardziej zaniepokojona.

— Ach, mamó, mamusiu najśłodsza! — bąkał, wycelowując jej rękę.

Dnia następnego, znacznie przed godziną czwartą, wybrał się do Zienkowskich. Jasny szczęściem, rozsiewał naokoło siebie czar młodości i siły, gdy dzwoniący, ze srebrną błyskawicą wokoło szyi, z pękiem kwiecica w ręku rwał przez ulicę. Oglądały się za nim kobiety, lecz on ich nie widział. Szedł niby uosobienie życia, pędzącego przed siebie z żywiołową mocą. Co krok zaczepiali go żebracy, prosząc o jałmużnę. Zazdrosnym i błagalnym wzrokiem ścigały go spojrzenia tych, co nie śmieją jęczeć, wyszli jednak na ulicę, szukać ratunku przed głodem.

— Wojaku młody! — zagadnął go jakiś starzec, w ubraniu świadczącym o dawnej zamożności.

Karol zatrzymał się. Ukłuliła go ta wy-

soka postać, zgarbiona, w cerowanym palcie i porwanym obuwiu. Uczuł wstyd w sobie za swą młodość i radość wobec tego starca, który nie był na wojnie, a jednak zraniony jest w samo serce godności ludzkiej. Pragnąłby wszystkich obdarować, ze wszystkich twarzy zcałować zamię męki, wszystkich uszczęśliwić dzisiaj. Powiedziawszy szeptem: „przepraszam“, włożył staremu w rękę banknot. Odchodząc, rzucił:

— I ja cierpiełem. Po całych dniach i nocach nie jedliśmy w okopach... wszyscy nas gryzły...

I poszedł dalej, nie czekając na odpowiedź, niezdolny zresztą dłużej rozmyślać nad znakami czarnej nędzy.

Krystyna przyjęła go w sukience z materji, znajdującej się ciągle jakby w płynnym niepokoju, jak powierzchnia wody zmarszczonej pod uderzeniem promienia słonecznego. Wziąwszy mu kwiaty, otarła się o jego usta rozkoszą swych płowych włosów i poprowadziła do matki, przedstawiając jako dawnego kolegę, teraz „bawiącego“ na wojnie.

Pani Zienkowska była to kobiecina drobna, nieco pękata, o biegających bez przerwy wyblakłych oczkach. Podając rękę Karolowi zgięła się pokornie, odpowiadała na powitanie szybko i gęsto, zarzucając gościa słowa-

mi, któremi wyrażała pokorny szacunek dla niego, i jakby starając się zaskarbić sobie jego przychyłność dla jakichś zabiegów i planów zgła mu nieznanych. Chytrze migając okiem opowiadała mu o córce, o mieszkaniu i o bogaczach, którzy na wojnie porobili majątki. Głównie jednak unosiła się nad Krystyną, zachwalając jej piękność i dobroć. Karol słuchał, nic nie rozumiejąc zresztą, nie siłąc się nawet na zrozumienie, wpatrzony w Krystynę, niecierpliwie czekając na chwilę, kiedy znajdą się sami. To jednak zauważył z przyjemnością, że Krystyna jest oczkiem w głowie matki i że ona tu rządzi, a nie matka.

Nareszcie Krystyna podniosła się i przeszli do jej pokoiku, który był urządzone z bezładnym nieco przepychem. Biureczko mahoniowe, pełne cacek, figurynek i flakoników, stoliki, kozetka kryta jedwabiem i duży, zasłonięty baldachimem łożko.

— Podoba ci się tutaj — co? — zapytała wstawiając do wody kwiaty, które jej przyniósł. Cichy i przytulny pokój, prawda, mój luby bohaterze? — pytała, lgnąc do niego wilgotnymi ustami, wtulając go w fałdy mieniącej się niespokojnie sukienki. Nie, nie teraz... jeszcze nie.

Omdlały padł na fotelik, przechyliwszy



głowę w tył. Przysiadła na jego kolanach i, jak wiewiórka, drobnemi ząbkami gryzła usta, policzki, zcałowując czerwone ślady.

Tracił przytomność z rozkoszy.

Sfrunęła zeń, jak ptaszek.

— Czyż rycerz miałby ochotę pójść na przechadzkę?

— Wolałbym...

— Rozkaz!

— W takim razie idziemy... ale dokąd?

— Najpierw do Loursa, potem do kabaretu, na kolację, do teatru... a potem dopiero... a potem... ci... ci... cichuteńko..., na kocich łapkach... Och, zacałowałabym cię na śmierć, ale przedtem jeszcze musimy pokazać się ludziom.

Uklękła przed nim. Ujrzał w jej oczach miękką słodycz i dobroć, jakiej nigdy dawniej w nich nie dostrzegał. Trzymając jej bladą twarzyczkę w rękach, rozmyślał nad istotą Krystyny, której nie mógł pojąć i sformułować sobie.

— Kocham cię — szepnęła gardłowym głosem, a on wglądał w jej oczy, wierne, oddane, z których płynął w jego serce spokój i pewność.

Jego twarz przejął ogień, prześwietlał od wewnątrz, że nabierała zarysów i blasku anielskiego. Pod tchnieniem jej słów i oświadczeń gasła w nim nawet żądza, pragnął jeno

tak trwać, słuchać i pogrążyć się w urok jej oczu, tryskających skrami koloru roztopionego złota. I ona, zda się, na czas jakiś zastygła w czułości swej i zapatrzyła, wgłębiła w jasność płomienną swego kochanka.

Westchnęła tylko, niby powiew skrzydełek motyli, wionęły z ust do ust: jedyne wyrazy zdolne bez treści pojęciowej wypowiedzieć to, czego słowami nie ująć!

Westchnął, gdy Krystyna raptem wstała od jego nóg, przeciągając się sennie.

— Mój rycerzu! — zbudziła go pocałunkiem.

— Uśmiechnął się.

— Jakże zmieniłaś się, Krysta!

— Na złe.

— Na szczęśliwe...

— A widzisz! — acha!... a-a.. szeptała, pieścząc go. No, ale idziemy.

Wyjęła z małego kredensu dwa kieliszki i napełniła je likierem.

— Na twoje zdrowie, Loluś! Abyś został wielkim żołnierzem!

— Abyś została moją żoną...!

— Dzisiejszej nocy...

I w zapamiętaniu podbiegłszy do łóżka, zerwała zasłonę wzorzystą: — Patrz!

Na błękitnem pościu, na poduszkach i wszędzie śniły rozsypane, białe paki róż.

Chwyciła go kurczowo za rękę.

— Dzisiejszej nocy zwiędną od twych uścisków, zanim ktoś inny zdąży ich dotknąć!

— Krysta — o — Krysta! Ten pierścień...? Zaśmiała się wzgardliwie.

— Ten pierścień? — Chodź, mój drogi!

Otworzyła okno i, uśmiechając się do siebie zjadliwie, zerwała z palca pierścień i wyrzuciła go za okno. Dzwoniąc dzwięcznie potoczył się po bruku.

— Rozumiesz?—i nie mówmy już o tem.

W przedpokoju, gdy już wychodzili, wychłynieła przed nimi, jakby z pod podłogi, matka.

— Idziecie na miasto, dzieci? Idźcie, idźcie. Jak ta Krysta ponętnie wygląda, prawda? Gdybym była chłopcem, rozamorowałabym się w niej na śmierć. Bawić się trzeba w młodości, zanim zęby spróchnieją. Oj ta Krysta, to łobuz! Mówię panu, jeszcze była taka, o! a już oczętami to goniło za chłopcami...

— Czego mama chce? — przerwała jej córka.

— Nic, córuniu, tylko... szepnęła jej coś do ucha. Karol usłyszał: „jak grób, córuchno“ i obrzydły szelest banknotu, który jej do rąk wsuwała córka.

Poczem Krystyna kwaśno pożegnała matkę i wyszli.

— Mama zawsze w porę nachodzi mnie

ze swemi rachunkami — zauważyła opryskliwe już na ulicy.

— Może nie masz pieniędzy? — zaniepokoił się.

— Dziękuję. Tego to nigdy za dużo, ale na razie wystarczy.

— Ile tylko potrzeba...

— Wiem, wiem, mój rycerzu. — błysnęła nań ironicznie okiem, ale zaraz, jakby chcąc go przeprosić, przytuliła się do jego ramienia i, nachyliwszy do ucha, szeptała: kocham, kocham, kocham, kocham...

Wskoczyli do dorożki.

Chude, wojenne szkapsko, żałośnie kiwając łbem, ospale ciągnęło dryndę, lecz młodym śniło się, że płyną w gondoli poprzez lazurowe, pieniste roztocza morza. Rany wojny, widoczniesze w tem wielkiem mieście, niż gdziekolwiek indziej, stanowiły kontrast zaostarzający piękno i rozkosz parki. Wśród prądu twarzy skłopotanych, wynędzniałych albo napiętnowanych plugawą żądzą zysku, przewijali się niby dwoje dzieci, oczarowanych widziadłami bajki.

To też, gdy znaleźli się w kawiarni, cizba obróciła się ku nim. Wielogłowy tłum wielkomiejski, cyniczny i brutalny, nigdy nie syty wrażeń, rzucił się na nich natrętnem spojrzaniem stuokiego potwora. Karol, zmu-

szony co krok pozdrawiać wyższe szarże, czynił to machinalnie, nie spostrzegając spojrzeń kobiet podziwiających jego młodzieńczą, zadufaną w siebie świeżość — ale Krystyna zachłystywała się aż z zadowolenia. Jej nozdrza z upojeniem wciągały oszałamiające zapachy hołdu, ciekawości, zimnych spojrzeń męskich, oceniających jej wdzięki; jej oczy złośliwe radowały się ze skrupulatnego przeglądu ze strony pań, zazdrosnych z zasady. Tem wdzięczniej chyliła się i wpatrywała w kochanka.

Ostry jej słuch rozkosznie polechtał urywek rozmowy, prowadzonej wśród grona oficerów legionowych w odległości kilku stolików.

— A to dłubinosek zrobił konkietę!

— Dziewczynka, jak malinka, jeszcze nieźrała na oko.

— Kapitan jej nie zdobędziesz. Trzeba by uprzątnąć najpierw dłubinoska, a to, wiść, kawaler gorący, gotówby i szarży zaświecić szabelką pod oczy.

Karol widział i słuchał tylko Krystyny, której twarzyczka zaróżowiona ze wzruszenia, była dlań tem cudniejsza i miłsza, że w porównaniu nawet z dniem wczorajszym zdała się być mu coraz szczerzej oddana. Taką mieć ją pragnął i marzył w gorączkowych

pólsnach na wedecie. Wydawało mu się, że wprost z godziny na godzinę, staje się mu bliższa, lepsza dlań i serdeczniejsza.

Po teatrze chwyciła go ręką rozpaloną:

— Teraz do domu...

Gdy weszli do kamienicy, kazała mu poczekać przed drzwiami i, otworzywszy je własnym kluczem, zniknęła. Po chwili wróciła jednak i, trzymając palec na wargach, wprowadziła Karola do swego pokoju.

Mżyło tu różowe, przytłumione światło.

Owinęła jego szyję namiętym uściskiem:

— Jak to dobrze, że przyjechałeś teraz, że nie później...

— Czemu, Krysta?

— Bo teraz, teraz właśnie chciałam cię mieć...

Gdy nad ranem zadzwonił do mieszkania rodziców, otworzyła mu matka.

— Synusiu, tak późno?

— Wcześniej. Dopiero dnieje... Jeszcze nie trąbiono pobudki?

— Karolku, jakiej pobudki?

— Do ataku, mamusiu — śmiał się serdecznie.

— Co ty bredzisz? Upiłeś się?...

— Jak nigdy, mamusiu...

— Bój się Boga! Ojciec!...

— Co tam!... Pamiętam jeden również taki poranek. Miałem służbę nocną. Wypeł-
znałem z drutów ku placówce, ażeby spraw-
dzić, czy Fredek nie usnął. Dzielny chłop,
ale lubi popić. Drzemał, jucha, ale czuwał.
Gdy się podczołgałem ku niemu, rzekł: —
Ta i po co się sekcyjny nadstawia!

— Baczość! — szepnąłem. Doleciał mnie
jakiś podejrzany trzask. Ktoś idzie z tamtej
strony, od nich...

— Od moskali — drżącym głosem za-
pytała matka.

— Od Moskali! Kazałem Fredkowi paść
na ziemię, a sam poczołgałem się bokiem.
Umówiliśmy się, że jeśli krzyknę: „bij!“ on
wtedy, nie strzelając, z czoła wpadnie na
nich bagnetem, ja z tyłu. Szliśmy na warja-
ta, gdyż nie wiedziałem, ilu jest Moskali,
a jeszcze była noc. Ukryłem się za wy-
próchniałym pniem wierzby, której gałęzie
były połamane przez kule. Słucham. Już
blisko. Musi ich być niewielu. Są na odle-
głości dziesięciu kroków. Puszczam ich obok
siebie, liczę. Czterech. Dobra! Serce mi wali,
nogi tańczą czardasza z ochoty. Już! Krzy-
czę: „bij!“ i pędzę. „Gospodi pomiluj!“ —
wrzasnęli. Ja kolbą w łeb jednego. Któryś
wypalił. Trafił mnie w tę rękę właśnie, ale

nie czułem. Fredek zajął się drugim. Zrobione. Dwaj inni złożyli broń. Rozpoczęła się pukanina ogólna. Wtedy dostałem to odznaczenie—zakończył, wskazując na krzyż I Brygady Piłsudskiego.

III

Czas gorzał w ogniach miłosnych. Dni urlopu wpadały w bezden przeszłości, niby strawione żarem, przepalone wióry. Nic już kochanków nie dzieliło. Żadne podejrzenie nie oziębiało ukropu miłości namiętnej, jaką płonął Karol w objęciach oddanej mu kochanki. Krystyna, jakby przeobraziła się istotnie. Te oczy jej bure, o żółtych kocich rozbłyskach, lśniły teraz kobiecą iście tkliwością, wyrażały niezawodną wierność i oddanie. Z pośrodku sinych smug, otaczających je teraz, świeciła ku niemu istota życzliwa, że siostra nie mogłaby być życzliwsza, a bliższa jak przyjaciel. Dawna Krystyna złośliwa, przekorna, zagadkowa, zginęła w zapomnieniu, jak pomyłka. Zaufanie duchowe, jakie potrafiła wzbudzić kochanka, przyszła żona, uświęcało w sumieniu Karola szczęście ich nocy tropikalnych. Był on zbyt młody i prosty, ażeby inaczej pojmować szal Krystyny. Więc pił, pił, pił jak skazaniec, pamiętny na

groźbę terminu dobiegające końca z szybkością niemiłosierną. Oślepl na wszystkie inne wrażenia, oprócz ust, ciała i duszy kochanki.

Lecz na dwa dni przed odjazdem zmaćlił mu czyste przezrocze życie niejaki pan Rząsa Hipolit, przyjaciel domu Zienkowskich, właściciel sklepu „kolonjalnego“. Człowiek ten, który według pełnej uwielbienia relacji pani Zienkowskiej zarobił na wojnie miliony, odrazu na pierwsze wejrzenie przejął Karola wstrętem, niczem zresztą nieuzasadnionym.

Nie upoważniał bowiem do tego przyjemny uśmiech pana Rząsy, przyklepiony zawsze do różowych warg niby plasterek angielski. Rzeczowy i skąpy w wysłowieniu, ze starannością „kolonjalnego“ eleganta ubrany, przypominał Karolowi ojca. Różnica między nimi tkwiła tylko w tem, że w „starym“ widział syn w głębi coś ciepłego i szczerego, od tamto przywalone stosami trzy i pięćset rublów. Pan Rząsa natomiast był bez życia i zapachu, tak, że jego blada twarz i ponure zamyślane oczy nieciły podejrzenie, iż pod fundamentalnie nakrochmalonym gorsem jego koszuli worka sercowego—niema. Rząsa mówił w dodatku spieszczając wyrazy, co Karola również drażniło, również bez powodu.

— Gdzież pierścioneczek, panno Krystyno? — zapytał pan Rząsa, spojrzawszy na ręce panny.

— W pudełeczku, panie Hipolitku.

— Czy aby nie zginął, panno Krystynko?

— A gdyby nawet zginął, panie Hipolitku, to i cóż, panie Hipolitku?

— Nic, nic — machnął pośpiesznie ręką. Dla kobietek dość jeszcze złota zostało na świecie. Szkodaby atoli pierścioneczka, bo wart dzisiaj z tysiąc rubelków srebrnych...

— Mówiłam, że nie zginął — przecięła sucho.

— To też ja nic nie mam przeciwko temu — przestraszył się pan Rząsa.

Karol milczał w ciągu całej wizyty.

Pan Rząsa na odchodnem uściśnął jego rękę.

— Bardzo mi przyjemnie poznać kolegę panny Krystyny. Na urlopek, kiedy znowu zjedzie nam żołdacik?

— Jestem żołnierz polski.

— Przepraszam, to wszystko jedno! Tu czy tam, jednaki interesik.

— Dla panów kupców...

— O nie dla każdego, przepraszam, nie dla każdego. Jednemu Bozia pobłogosławi, drugiego wyśle na żebry. Bardzo przepraszam.

— To godny człowiek, nadzwyczaj miłejki człowiek pan Rząsa — zachwalała go pani Zienkowska, gdy kupiec wyszedł i przenikliwie przytem świdrowała oczkami Karola. A jaki pocziwy, jaki dobry, jaki miłosierny!

To nasza opatrność podczas wojny, panie szanowny! Ach, zginęłybyśmy z Krysią jak rude myszy, gdyby nie jego dobroć i szlachetność.

Lecz Krystyna ulitowała się nad Karolem i pociągnęła go do swego pokoju. Tu, zasypując go pocałunkami, wybuchnęła śmiechem oschłym i wzgardliwym.

— A to głupiec, prawda? Przypiął się do świętej pamięci pierścionka, jakbym była jego narzeczoną. No, rozchmurzyć czoło. Jeszcze dwa dni, Lolus. Nie marnujmy czasu... tylko dwa dni. No, pocałuj swą kochankę...

— Żonę...

— Pocałuj swoją żonkę tu. I tu jeszcze. A uszko Krychny ma być ukarane? — także trzeba wycalować — ty!

Tego wieczoru poszli do teatru. Grano „Latającego Holendra“. Krystyna wierciła się i lornetowała publiczność, nie słuchając, lecz Karol był przejęty. Zwłaszcza w ciągu drugiego i trzeciego aktu, usłyszawszy ton wieczysty tej tragedji wierności, zapatrzył się w siebie i ujrzał tam czarne chmury podejrzenia względem Krystyny. W ciemności, pośród rozpętanego huraganu dźwięków, kędy błąka się duch Holendra, poprzez złowrogi chichot załogi tajemniczego okrętu, jaskrawił się drażniącym blaskiem djament Krystyny, wyłaniała się zastygła maska Rzasy. Karol lkał w tajemnicy, trawiony tęsknotą do Kry-

styny - Senty, która go zwodzi z pospolitym Erykiem. Zapomniał się do cna, zapatrzył w sprawę odbywającą na scenie, rymując własne losy na ośnowie kosmicznej dźwięków muzyki wagnerowskiej. Dopiero gdy z burzy żywiołów wyłoniła się promienna para wzajem wyzwalających się i już wyzwolonych — oprzytomniał.

Jakież radosne ocknienie: spotkał wpatrzzone w siebie złociste, wiernie oddane oczy Krystyny. Światło radości hucznej wypłynęło z serca dręczącego się losem tragicznych kochanków, a świadomością ośwładnęła żołnierska, zuchwała pewność siebie. Tamto był zwid teatralny, tu ofiaruje mu się życie jasne, szczęśliwe, ponętne, jak dziecięce wargi Krystyny, jak kibić jej zwinna, giętka, rozkoszna.

— Krysta, kochanko, żono moja — szeptał jej w ucho, gdy wracali z teatru ciemnymi ulicami.

— Bohaterze mój!

— Będziesz mi wierna...

— Czy nie dałam jeszcze dość dowodów... ty, nienasycony...

— Jak Senta...!

— Jaka Senta?

— Z teatru...

— Ta aktorka była przecie brzydka, Lolku!

— Ale śpiewała pięknie!

— Nudnie... o jej... o jej...

IV

Dochodziła godzina dziewiąta wieczorem, gdy na dworzec Brzeski wszedł Karol z matką. Z czułością serdeczną prowadził ją pod rękę, mówiąc do łkającej słowa kojące. Pani Rutkiewiczowa chusteczką zasłaniała usta, usiłując wstrzymać głośny płacz.

— Jedynaku mój... serce moje lęka się...

— Mamusiu, tyle razy znajdowałem się w niebezpieczeństwie, a przecie żyję.

— Karoleczku, czarne przeczucia mnie trapią.

— Moja mamó, przed każdą bitwą trapiło mnie przeczucie, że zginę.

— Pilnuj się, uważaj na siebie! Tyś młody, wątły jeszcze. Chorowałeś na zapalenie płuc.

— Nie przypominam sobie. Kiedyż to było?

— Miałeś wtedy trzy lata, dziecino.

— Ha-ha-ha! A to mamusia zapomniała, że przechodziłem chorobę jeszcze cięższą?

— Jeszcze cięższą?

— Pewnie. Musiałem trzymać się ścisłej diety. Doktor oświadczył, że gdybym się dorwał do kielbasy, kipnąłbym na amen.

— Nie przypominam sobie. Kiedyż to było?

— Miałem wtedy dwa miesiące życia.

— Ach, ty łobuzie, z matki tak żartować — uśmiechała się przez łzy pani Rutkiewiczowa.

Nagle usłyszał na kamieniach dworca szybki tupot nówek. Wiedział... Odwrócił się. Biegła ku nim Krystyna. Przeprosiwszy matkę, pośpieszył naprzeciwko kochanki. Rzuciła mu w twarz bukietik konwalji i, podnosząc do góry swe dziecięce usteczka, podawała różę śliczną, białą, rozróżowioną od środka.

— Wiesz? nie zapomniałeś?

— Krysta!

— Przyjedź znowu...

— Krychna!

— Odznacz się, bądź wielki! — kocham cię! Nie zważaj na pozory — kocham cię!

— Krysiu!

Już rozlegał się głuchy stuk zatrząskiwanych wagonów.

— Einsteigen! — ryczał konduktor.

Ucałował ręce matki. Spadła mu na policzek jej łza ciepła.

— Mamo, wstyd. Wracam bić się za Polskę. Niech mama pozdrowi ojca.

— Niech cię Bóg strzeże, jedynaku mój...

Pociąg sapnął i ruszył. Salutował z okna wagonu, dwa palce przyłożywszy do czapki. Naraz spostrzegł w drzwiach wejściowych pana Rzęsę. Kupiec ujrzawszy „kolegę panny Krystynki“, podniósł rękę do kapelusza. Karol doznał uczucia, jakby mu ktoś wbił szpilkę w serce. Nie odwzajemniwszy ukłonu, siadł na ławce zmartwiałej. Pociąg przyśpieszał pędu.

Dopiero surowe prawa frontu ujęły w karby jego rozstrojone serce. Bez żalu ugiął się pod jarzmem dyscypliny wojennej, nie uwzględniającej zachcianek, a nawet uczuć jednostki. Prędko zaraził się niefrasobliwą, junacką świeżością młodego żołnierstwa polskiego.

Zbliżał się maj i oczekiwano ważnych wypadków. Wrzała robota nad umocnieniem stanowisk, nad pogłębieniem rowów. Walczono bezustannie z wodą, która na wiosnę dawała się szczególnie we znaki w tym bagnistym kraju poleskim.

Karol szybko przystosował się do trybów maszyny. Z dumą uprzytamniał sobie, że jest w niej częścią, nic wprawdzie na pozór nie znaczącą, w gruncie jednak równie ważną, jak całość, której moc zależała od tęży-

zny i wytrzymałości tych właśnie atomów. Wkrótce odzyskał spokój a ciało i duszę rozpromieniła nadzieja zwycięstwa tu na froncie i tam — w życiu. O śmierci rozmyślał najmniej, właśnie jak człowiek, który wciąż widzi ją przed sobą.

Od Krystyny otrzymywał na swe długie listy krótkie odpowiedzi na kartkach, które zresztą wysyłała rzadko. Podejrzenie i nieufność zniknęły wobec prostoty życia, jakie wiódł tutaj, gdzie myśli zarówno jak prace układają się w formy wyraźne i dokładne. Krystynę uważał za swoją narzeczoną, a dowody jej całkowitego oddania się jako zakład związku trwałego, który celem usunięcia jakichkolwiek wątpliwości i komplikacji, postanowił utwierdzić jak najszybszym ślubem. Nie rozumiejąc jej ociągania się, postanowił rzecz przeciąć raz na zawsze. Ale o urlopie ponownym, zwłaszcza wobec spodziewanych wypadków, marzyć nawet nie mógł. Napisze więc do niej list szczegółowy, zażąda ślubu, który prawem żołnierskim zawrą zaraz, skoro tylko z frontu uda mu się wyrwać bodaj na kilka dni. Zeby zaś słowu pisanemu dodać wagi i, nie życząc sobie przytem, ażeby list ten podległ obowiązkowej cenzurze, umyślił wysłać z nim starszego żołnierza swej sekcji, lwowskiego „batjara“, Fredka. Zbratał się bowiem przyjaźnią gorącą z tym murarczy-

kiem o szerokim, czerwonym nosie, krępej postaci, żywym i prędkim, jak ogień, dobrym żołnierzem, o poczuciu honoru tak subtelnym, jakby Fredek pochodził ze starej rodziny szlacheckiej. Związały ich miesiące twardej służby i śmiertelnych niebezpieczeństw. Karol, lubiany przez kapitana, wymani dla Fredka jakoś urlop na cztery dni i sprawa załatwiona.

Fredek, dowiedziawszy się, w czym rzecz, objawił, naturalnie, gotowość natychmiastową.

— Dam wam list, ale oprócz tego, sami musicie na nią wywrzeć nacisk, żeby nie odkładała...

— Co to, to nie — obywatelu sekcyjny, machał Fredek ręką. To ja prał nieraz, jak mi która co zmajstrowała, ale, żebym ja waszą przyciskał, to nie moja sprawa.

Karol parsknął śmiechem.

— Bez żartów, Fredek. Podacie jej list. Ja w nim wszystko napiszę. Wy tylko włożycie jej w głowę, że mi tęskno do niej i że musimy wziąć ślub. Ona ma tylko wyraźnie zgodzić się i powiedzieć kiedy.

— Rychtyk. Ta rozumiem. Albo, albo, bo jak nie... to co?

— Nie może być albo, albo... ale tak musi być, jak piszę. Przyjadę do Warszawy w czerwcu albo w lipcu, jeśli mnie puszczą i odprawimy wesele.

W pięć dni potem Fredek wrócił. Swego sekcyjnego znalazł w ziemiance.

— Melduje posłusznie, obywatelu sekcyjny...

— A jesteś! — skoczył do niego Karol. Masz list? Dawaj!

Fredek sięgnął ręką za pazuchę, raz po raz chytrze mrugając na sekcyjnego. Wreszcie wydobył pomiętą kopertę.

„Kochany Lolku!

Przekonałam Cię chyba dostatecznie, jak bardzo Cię kocham. Czy Ci to nie wystarczy? Śluby bierze się nie dla miłości, lecz dla interesu. Och Ty głupiutki, luby mój bohaterze! Widać, że jeszcze nie znasz życia. Czy spotkałeś gdzie żonę, któraby kochała męża? Ja, kiedy coś podobnego zobaczę, pękam ze śmiechu i wolę, ażeby z nas nie śmiano się tak samo, ani też nie życzę sobie, żeby mój najukochańszy rycerz został rogalem, bo każdy mąż musi być rogalem. Mąż ma obowiązek utrzymywać żonę i to bogato, stroić ją i być o nią zazdrosny. Zona powinna mieć kochanka... Ty jesteś i będziesz moim kochankiem, mój bohaterze. Koniecznie tylko powinienes się o to postarać, ażeby otrzymać szarżę porucznika. Twój ordynans sprytny chłopak, on będzie nam woził i nosił liściki miłosne. Zresztą mój narzeczony (poznałeś przecie tego osiołka) jest stworzony

na rogala i dlatego doskonale nadaje się na męża. Jest głupi, posiada duży majątek, kocha się we mnie i boi się mnie. Więc, Lolku, wyperswaduj sobie te śluby, bo Ty jesteś stworzony znowu na kochanka i nigdy nie myślałam o Tobie inaczej. Kradziona miłość jest o wiele słodsza, niż miłość małżeńska... Przekonałeś się o tym, Ty ladaco! Kończę już, bo nie lubię pisać takich listów. Oprócz tego śpieszno mi do miasta po zakupy bielizny do wyprawy... dla Ciebie... mój luby! Całuję Cię w uszko, w oczko, w buzię i...

Twoja Krysta.

P. S. Odtąd pisuj ostrożniej. Za tydzień ślub“.

Karol podniósł głowę i oglądał się dookoła, jakby czegoś szukał. Był blady, nokoło oczu wystąpiły mu szare smugi. Wydało mu się, że jest całkiem samotny. Potem odwrócił się, plecami oparł o gałęzie, które niby płot pleciony przytrzymały nasyp, ażeby się nie zwałił, i spojrzał ku niebu. Wysoko na sinym błękicie szumiał i huczał latawiec nieprzyjacielski. Karol zacisnął pięści, podniósł je w górę i szeptał głucho, jakby śląc jakieś dzikie wyzwiska temu tam w górze.

— Krwi! — Krwi!

— Wstrzyknijcie te krople — odezwał

się do niego Fredek, stukając go w łokieć manierką.

— Krwil! — Krwil!

— Ta, będziecie mieli, nie bójcie się! Patrzcie ile tych gołąbków furka na niebie, jak wróbli.

— Dziewka...

Nagle zawyło nad ich głowami.

— Kryć się — zawołał Fredek. Zaczyna się kołomyjka.

Lecz Karol nie ruszył się.

— Necie! — namawiał go dalej Fredek. Serce wam się rozgrzeje. Ta i o co się martwić. Babów będzie na kopy po wojnie.

— Dziewka... — syczał Karol.

— Brzana jak brzana! — sentencjonalnie zauważył Fredek.

Wtem z rowu dobiegowego usłyszał głos kapitana:

— Gdzie Rutkiewicz?!

— Według rozkazu.

— Cóż to tak wyglądacie, jakby Was tchórz obleciał?! Otrzymaliśmy wiadomości, że na wieczór gotuje się szturm. Liczę na was, Rutkiewicz.

— Według rozkazu, obywatelu kapitanie! Rowami niby tunelem płynął rozkaz:

— Baczno-o-ość!

— Gotu-u-uj się...!

Wysoko na sinem niebie coraz liczniej

pływały latawce nieprzyjacielskie pośród różowych chmurków pękających szrapneli. W godzinę później zniknęły. Cisza surowa, mroźna spadła na okolicę, która zdała się być pustką cmentarną. Serca ludzkie osłonięte nasypami ziemnymi oraz iglastym lśniącym pancerzem krzyżujących się drutów, były na alarm...

Karol, zwinąwszy dłoń w trąbkę, rzekł cicho do stojącego o kilka kroków odeń Fredka:

— Macie rum?

— Dla Was, brachu, mam.

Karol napełnił rumem połowę swej manierki, lecz przez nieuwagę położył gdzieś na ziemi korek i teraz nie mógł go znaleźć. Trzeba jednak było zatkać czemś drogowym napój. Wziął tedy list Krystyny, dla miękkości polał go nieco rumem i zaczął zwijać. Naraz przypomniał sobie coś, szybko sięgnął do portfela i ze swej książeczki wojskowej wyjął zawiedłą białą różę. Przyjrzał się jej po raz ostatni, poczem płatki róży rozsypał na papier listu Krystyny, zwinął to wszystko razem twardo i zakorkował manierkę.

— Ta korek leży tu przy waszej kolbie.

Karol spojrzał. Rzeczywiście. Podniósł go, wyciągnął z manierki czopek papierowy i z rozmachem cisnął go w błoto poza nasyp rowu.

Naraz jakby ziemia pękła, wyrzucając z siebie ryk wściekłości. Wśród sennych borów i na bagnach gnuśnych zawrzało, zakotłowało się. Niewidzialne demony wyhywały z piekieł i bluznęły słońcu w jego światłe oblicze krwawemi błyskami swych szyderczych ślepi.

Rozpoczął się ogień huraganowy.

PIERWSZA WIGILJA

Brudny, chłodny, wilgotny dzień minął. W mieszkaniu zapalono światła. Dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka, zbliżyło się do choinki, z podziwem przyglądając się złotym, białym i czarnym wstążkom, wijącym się między zielonemi szpilkami. Dzieci trzymały się za ręce i z otwartemi ustami obserwowały białego niedźwiedzia, który wydrapał się na najwyższą gałązkę drzewka. Ta zgoda skończyła się jednak prędej, niżby ten sentymentalny obrazek zdołał być zanotować malarz. Proces poszedł o niedźwiedzia, co z wysoka pożerał wylupiastemi, straszliwemi gałami czerwoną, kręconą świeczkę. Dziewczynka twierdziła, że to jej niedźwiedź, chłopiec zaś upierał się, że „niecieć“ stanowi jego odwieczną własność. Dziewczynka liczyła lat sześć, chłopiec był o dwa lata młodszy, ale dziewczynka okazywała więcej uporu, a co ważniejsze, więcej siły.

— Mój „niecieć“... — wołał chłopiec.

— Twój — ale!

— Mój „niecieć!“

— A ja sobie wezmę niedźwiedzia, bo tatuś mnie obiecał niedźwiedzia, bo tatuś mnie obiecał, bo tatuś mnie...

Drażniąc braciszka, przystawiła stół do drzewka i, czerwona ze złości, usiłowała dopuścić się wielkiego przestępstwa, bowiem choinki nie wolno nigdy tykać. Mały zorjentował się w sytuacji i, nie chcąc dopuścić do „faktu dokonanego“, ryknął tak potężnie, że złodziejka zadrżała.

— Mój „niecieć“, tatuś mnie obiecał, bo tatuś mnie obiecał, mój! — krzyczał chłopiec głosem, którym możnaby niedźwiedzia wypłoszyć z kniei, nie tylko z pokoju.

Dziewczynka, która chciała tylko nastraszyć małego, zeskoczyła ze stołka i myśląc, że uspokoi braciszka i zdoła zatrzeć ślady zbrodni, krzyczała: twój! — twój!

— Mój „niecieć!“

— Twój, twój!

— Bo tatuś mnie obiecał...

Wtedy we drzwiach stanęła matka. Przy stojna kobieta, trzydziestoparoletnia, blada, zatrzymała się w progu. Miała na sobie suknię żałobną. Oparła się o odrzwia pokoju jakimś niedbałym pochyleniem ciała i, bezsilnie splótłszy ręce, spoglądała na dzieci wzrokiem zgryzionym. Nie odzywała się. Ogarnęła dzieci spojrzeniem żalosem i na-

raz uprzytomniła sobie, że i to jaskrawe drzewko i te dzieciaki, to jakby ostatnie pogłosy życia radosnego, które skończyło się, ponieważ „on“ już nigdy nie wróci. Nigdy!

— Bo tatuś mnie obiecał!... — pisała mały, apelując do wyższej instancji.

— Tatuś nigdy już nie wróci — szepnęła matka, tuląc do siebie chłopca i łzy trysnęły jej z oczu. Dziewczynka zbliżyła się do matki i, krzywiąc usta do płaczu, z lękiem patrzyła na nią, nie pojmując.

— Nie wróci tatuś...? — zapytała,

— Moskale zabili, rozumiesz Lenka? Moskale tatusia zabili... o... o... zabili, zamordowali — ostrym głosem zawodziła, wbijając podpuchnięte i zaczerwienione oczy w zacieniony kąt pokoju. Oczy rozwierały się coraz szerzej i nabierały ponurego blasku, jakby wchłoneły w siebie ciemność grobu.

— Nie wiem nawet, gdzie leży. Zamordowali, krew z niego ciekła, płynęła, oczy mu zaszły mgłą... i utonął... och!...

I mówiąc to swoim dzieciom, cichutko osunęła się na ziemię.

Panią Helenę ocuciła matka poległego, a gdy zemdlona wróciła do sił, we czworo zasiedli do wieczerzy wigilijnej. Trzykrotnie chciała siwowłosa staruszka podnieść opłatek, by złamać go z córką, ale po trzykroć ręka jej drgnęła i cofnęła się.

Twarz pani Heleny wciąż drżała, jakby pod naskórkiem płynęła nie krew, ale ruchliwa, nerwowa rtęć. Oczy wpatrywały się w dal, widząc coś, albo szukając obrazu, ginącego przed nimi i znów wychylającego się z głębin jaźni. Gdy spoglądała na główki dzieci, lśnił w oczach błysk ziemski, ale wtedy właśnie gardło zaciskało się i oczy nabiegały łzami. Dzieci spłoszone jeszcze zajęciem, rozmawiały ciszej, lecz już uwagę ich zajęły w zupełności słodyczne i owoce, zapomniane przez starszych.

— Sam poszedł... dla kraju... — nieśmiało rzekła staruszka.

Na te słowa przeleciał po twarzy córki płomień. Oczy zaiskrzyły się złym ogniem, nozdrza drgnęły, usta zmartwiały od bólu i zwinęły się zimnem szyderstwem.

— Dla kraju... powtórzyła z uśmiechem cynicznej ironji.

Staruszka wzdrygnęła się. Jej twarz zmarszczona, zjedzona długim życiem, przepełniona bierną dobrocią, zmieniła się. Z pod maski ziemskiej starości wyjrzała twarz inna, drugie, właściwe oblicze, niby silny, jędrny rdzeń pnia z pod kory, stoczonej przez robactwo. Zabarwiły się policzki, wygładziły zmarszczki — wyraz oschłej surowości zajął miejsce cierpiącego znużenia.

— Dobrze uczynił, że poszedł... tak go

wychowałam i jego dzieci także będą wiedziały, że śmierć dla ojczyzny...

Staruszka nie dokończyła. W swem sercu macierzyńskiem, własne słowa usłyszawszy, przeraziła się ich okrutnej, wieczystej treści. To też chwyciła panią Helenę za rękę, jak lekarz badający puls i patrzyła jej w oczy.

Lecz młoda kobieta nie odrzekła. Przymknęła tylko powieki, a z pod nich nieprzerwanym strumykiem płynęły i wciąż płynęły łzy... Skłoniła głowę i oparła o ramię matki... i tak trwały już do końca wieczery w komunalnem milczeniu.

Dzieci zaś już bawiły się na podłodze toceniem złoconych orzechów.

Staruszka ułożyła je potem do snu. Gdy pani Helena spoczywała już w łóżku, przyszła jeszcze do niej i, w milczeniu ucałowawszy, troskliwie otuliła kołdrą. W ciemności oddała jej młoda wdowa pocałunek rozgrączkowanemi wargami.

Została sama. Dzieci niespokojnie przewracały się w łóžeczku. Lśnienie księżyca mżyło przez chmury.

Cisza nocy. Straszliwy obraz, wyjaskrawiony, prawdziwy w ciszy i ciemności, wyłonił się i trwał, póki go odruch ratowniczy: — łzy — nie zgasił, iżby serca nie roztargał na zawsze...

Kula przeszła piersi Henryka na wylot. Zemdłał. Skoro ocknął się, gwiazdy światłem natrętnem uderzyły go w oczy. Odwrócił się od nich z niechęcią. Znowu omdłał.

Zdawało mu się, że mu ktoś przypala prawą łopatkę rozżarzonym świdrem.

Wola przemogła jednak. Wiedział, że jest rozkaz, aby dążyć w takim przypadku do miejsca opatrunkowego.

Próbuje. Odwrócił się na bok, chociaż ból targnął niemiłosiernie. Trzeba. Rozkaz. Ratunek. Tu zemrze z upływu krwi.

Podniósł się na jedno, potem na drugie kolano. Promienie bólu smażą mu całe plecy. Gore żywcem.

Och zostać!

Nie — nie — tchórze — leniwcze — naprzód!

Rozpoczyna krwawy marsz. Czołga się. Nosem zarył w coś lepkiego... Wydma.. Dalej...

Długo, długo... kiedy się to skończy...? Dalej... pełza... Acha — polana!... O — o — tam światelko...

Prawa ręka ugrzęzła w jakiejś jamie... stęknął załóżnie... Wstyd!...

Zemdłał,...

Ujrzał cudowną raketę, zwiastunkę życia... Naprzód!...

Czyż on ma jeszcze plecy... czyżby jeszcze nie stliły się? Naprzód!... Zgrzytnął zębami!

Podniósł twarz do nieba. Jakaż ona

wychudła, żółta, starta od męki... jakże te oczy żarzą się, jakby świat chciały spalić...

Dalej! och, kolano to — czy góra wrośnięta w ziemię? Dźwignął je. Czołga się. Teraz i drugie zaciążyło nieznosnie... już nie potrafi... przenigdy... Nie dźwignie... go ściga...

Cóż to — ziemia się otwiera? wrasta w nią... już i ręce nieruchome. Cóż to, ziemia się podnosi? Podsuwa się do niego, miękka, szlamista, już mu obezwładniła ręce i nogi, otwiera paszczę... już oblizuje go śliną błotnistą... Ratunku! ...Jeszcze wzniosł twarz po raz ostatni... błoto wlewa się w usta — dusi... Utonął w bagnie.

Wydaje się pani Helenie, że i ona utonęła. Lecz nie. Obraz powraca, coraz dokładniejszy. Golgota rozpoczyna się na nowo...

Usnęła.

O, szczęście błogie...! O rozkoszy niewymowna!

Światłość, jakiej nigdy nie widziała... On z niej... tak to on! Onże to — Henryk? Blask płynie od niego. Twarz pogodna, ale

uroczysta. Surowa niby marmur i chłodna,
a zarazem rozgrzana ciepłem.

Rycerz!

Henryk to — czy nie? Jaki silny, wspa-
niały, piękny! Patrzcie, patrzcie! To mój
Henryk!

Henryku! Henryku!

Usłyszał. Odwrócił głowę. Każde jego
poruszenie melodją, której nie słysząc —
a jednak pienie to jest nieziemskiej treści...

Pan mój — rycerz!

Zbliża się wśród śpiewów... I ciało jego
światne, promienne, śpiewa tęczowemi bar-
wami... Jakże błogo sercu... Zniża ku mnie
swą twarz... usta dotykają czoła mojego...
Czyliż godna jestem?...

Cisza nieznana sercu zstępuje z jego
pachnącej postaci ...spokój z jego słonecznej
aureoli.

Och, Henryku! — rycerzu! Nie przemijaj!

Jasno. Jest pewna, że on w tej chwili
odszedł... rozgląda się... szuka... Cisza w ser-
cu, cisza szumiąca niby szmer wieczny
w muszli.

Niema go a przecie jest!

BESTJA ZŁOWROGA

Fale majowych, jaskrawych promieni.
Ciepło rozkoszne. Ciało nasycą się energią
słoneczną, myśli wibrują złocistym akordem
błękitu i jasności. Zapomnienie... Chwila od-
poczynku od koszmarów. Myśli senne koły-
szą się, uczucia zrywają się z mocą soków,
rozsadzających korę drzew.

Naraz kwiląca, żałosna skarga skrzy-
piec z ulicy. Gorzkie łyzy, zda się, kapią
z czyichś oczu w zakurzony rynsztok miasta.
Tak jest... ktoś gra Chopina... na ulicy.

Czemu sercu smutno?

Pierzchnęły śnienia majowe, pomrok za-
łoby padł na serce. — — — — —

— — — — — Ten rumak straszny
Böcklina...

Widziałem go — kiedyś — w małym
muzeum miejskim w Zurychu, w cichym
pokoju naświetlonym hojnie.

Szkic do „Wojny“.

W ciszy muzealnej rwie przed twymi
oczyma jeździec okropny na jakiejś bestji

złowrogiej, której kopyta krwią zbryzgane,
z nozdrzy bucha opar szkarłatny, z oczu zio-
nie tchnienie trupie: głód, mór...

Przeraża cię ten orszak piekielny, bez-
szelestnie pędzący tuż przed tobą, w tej ci-
szy muzealnej,.. przeraża i zachwyca cza-
rem grozy.

Wychodziłem zawsze z tego maleńkiego
muzeum urzeczony wielką złudą sztuki.

Lecz nigdy nie musnęło nawet wyobra-
źni mej przypuszczenie, że ten straszny zwierz
Böcklina wydrze się z ram obrazu i pocwa-
łuje w świat.

A to jednak właśnie się stało.

Upiór, wywleczony z piekła na włosie
pędzła malarskiego, wydarł się z ram obrazu
i cicho, bez szelestu, tak, jak w muzeum,
goni przez sioła i miasta.

Nie tam, kędy działa ryczą, jego droga...

Tam pełnią straż boginie zwycięstw
i klęsk bohaterskich...

Nie, ten potwór, który zdał się być zja-
wą, wizją, złudą, szaleje na tyłach, chociaż
tętentu kopyt jego tu nie słyszeć, szerzy
spustoszenie, którego nie widać.

On hula tu, po ulicach miasta.

Okrutne ślepie jego chłona ból, srogie
kielce miażdżą ciała niewinne, chrapy zieją
zarazą, głodem.

Rumaku piekieł, kto cię okiełzna?! — —

— — — — — Załosne łkanie wciąż
siapi, i drga, i skomli z ulicy.

Czemu sercu smutno...?

Wyjrzałem.

Tak jest. Na kamiennym bruku, prawie w rynsztoku, żeby przechodniom nie zawadzać, stoi skrzypek i gra. Wyświechtany melon na głowie. Ciemne palto, postrzępione, zrudziałe. Jednej kłapy od kieszeni brak, druga „azurowa“. Kołnierz świeci się. Obuwie szerokie, wydęte, jakby napuchłe. Twarz grajka żółta i szara o błękitnawym lśnieniu ciała schorzałego, w oczach zrezygnowana rozpacz spokoju. Prawą ręką odzianą w rękawiczkę, wodzi smyczkiem.

Ten i ów z przechodniów zatrzymuje się. Dzieci gromadą otoczyły grajka. Starsi dziwią się również, dumają; zastanawia ich ten grajek. Tylu przecież jest w Warszawie muzykantów podwórzowych, kataryniarzy, diadów. Lecz ten muzykant dobrze gra, rzetelnie... jak artysta. Oto jakaś dama w żałobie zatrzymuje się, ale tej nie było potrzeba wyjaśnień. Wyjęła z portmonetki monetę i wetknęła ją skrzypkowi. Wziął i grzecznie, z godnością dziękował, zdejmując kapelusz.

Znowu gra. Ciągłe to samo. Żałośnie i krwawo jęczą struny... jak niemowlę, co nie znajduje pokarmu w piersi matczynej.

Bracie w Apollinie! — jeden z chóru
nieznanych, bez których jednak zastygł-
by znicz sztuki — i tyżeś to również do-
stał się pod kopyta grasującego po ulicach
rumaka?

S A D

Lekarz dywizyjny stanął przed kometandem odcinka z raportem.

— Jakże dzisiaj zdrowie naszych zu-
chów? — zapytał generał.

— W pierwszym bataljonie zachorowało
pięciu, w drugim trzech, w trzecim jeden...

— Dziewięciu w jednym pułku! Cóż to
ma znaczyć? Jacy to żołnierze?

— Po dwudniowej służbie w okopach
zostali odkomenderowani na wypoczynek do
miasteczka M...

— Na co zapadli?

Lekarz z rezygnacją potrząsnął głową:

— Na tę samą chorobę, która grasuje
od paru tygodni.

Siwy generał porwał się z ławy. Twarz
nabiegła mu krwią.

— Kazałeś ich pan odstawić już do
szpitala polowego? W razie przeciwnym pro-
szę ich przysłać do mnie. Do kroćset! Trzeba
raz z tem skończyć. Prawie pół kompanji

w ciągu ostatnich tygodni. Choroba porwała mi więcej żołnierzy, niż ogień Rosjan. To pańska wina, doktorze! — rzucił lekarzowi, który tymczasem wydawał rozkazy przez telefon.

— Panie generale! — zawołał lekarz, stojąc w postawie przepisowej. — Wszystkie rozkazy w tej sprawie zostały ściśle wykonane, rozporządzenia wypełniono z pomocą żandarmerji polowej.

Generał uderzył się dłonią w czoło, jak człowiek, którego zaskoczyła myśl niespodziewana.

— Czyżby to oni... umyślnie?... — rzekł do siebie.

Zmarszczki chmurnie spiętrzyły się na jego czole.

— Nie sędzę, panie generale — wtrącił lekarz.

— Tak, to chyba niemożliwe — rozmyślał głośno generał. — Zobaczymy...

W sieni zrobił się ruch. Przez drzwi zajrzał adjutant.

— Chorzy? — spytał generał, nieznacznie bębniąc palcami po stole.

— Według rozkazu, panie generale.

— Proszę wpuszczać po jednym.

Do izby wwałił się żołnierz lat około czterdziestu, krępy, barczysty, ogromny. Nieoczekiwanem kontrastem uderzała w tej potężnej postaci twarz żółta, ziemista i torebki

zmarszczek nawisłych pod oczami. Zionęła z tej twarzy chłopskiej rozpacz zakrzepła i strach. Na widok generała spętał się jednak w sobie i przybrał postawę wojskową.

— Który oddział? — indagował generał, z pod oka pilnie obserwując żołnierza.

— Bataljon trzeci, kompanja trzecia, pluton pierwszy.

— Jesteście chorzy?

— Niestety... — jęknął żołnierz.

— Pójdziecie pod sąd za świadome podanie się zarazie, celem uchylenia się od ciężkiego ale szlachetnego obowiązku walki za Ojczyznę — oświadczył oschle generał.

W miarę tych słów służbowe ale martwe oblicze żołnierza jęło się ożywiać.

Zrazu nie pojmował, co mówią do niego. Wpatrywał się w oczy swego wodza, jak gdyby chciał znaleźć w nich rozwiązanie zagadki jego słów.

W izbie było cicho. Na linji okopów rozlegał się czasem pojedynczy, suchy trzask karabinów. Lekarz wnikał w oczy żołnierza, z takim naprężeniem, iż, zdało mu się, kamicieją mu mięśnie twarzy.

Generał przerwał po czasie niejakim ciężkie milczenie.

Żołnierz nie odpowiedział, lecz gałki oczu wyszły mu na wierzch, a krew pędziła do mózgu z taką gwałtownością, iż o kilka

kroków widać było bicie pulsów na skroniach.

— Ja?... — wykrztusił.

— Wy! — odparł generał.

Żołnierz wyprostował się tak, że aż zaczął się chwiać i okazał się niejako w całej wspaniałości swej rosłej, potężnej, aczkolwiek prostackiej budowy.

— Melduję posłusznie, ekscelencjo! — począł jakimś głosem głuchym.

— Co macie do powiedzenia na swe usprawiedliwienie? — ośmielił go generał, wymawiając słowa z odcieniem przychyłności.

— Melduję posłusznie, panie generale... Byłem się pod Liège i Namur... Ranny pod Antwerpją. Tak. Potem pół roku w szpitalu. Jezu, ile człowiek namęczył się! Potem, ekscelencjo, melduję... od Mitawy pod Rygę. Potem z powrotem do Francji. Verdun! — melduję posłusznie. Po dwu miesiącach urlopu tu w okopach...

— Żonaty? — spytał generał.

Te słowa uderzyły w chłopaka jak wichier. Chciał się opanować. Wpakował sękatą pięść w oko i ryknął.

— Jezu! Mam żonę i troje dzieciak... troje... trzech chłopaków...

Generał zasepił się. Szybkim ruchem podniósł powieki i, błysnąwszy oczami, huknął:

— Mając żonę i troje dzieciak?!...

— Skąd człek miał wiedzieć? skąd? Popiłem trochę, zaproszyłem ten przekłety łeb... ładna dziewczyna... — płakał, wytrząsając pięściami.

Wszyscy umilkli. Żołnierz, zapominając o dyscyplinie, pochylił się i przygiął ku ziemi. Łzy kapąły mu z oczu.

Generał zadumał się; prędko jednak otrząsnął się i skinął łaskawie w stronę żołnierza, który stał już wyprężony, nie ruszając się, czekając...

Generał zrozumiał go i rzekł:

— Oby was Bóg wyratował z nie-szczęścia!

Żołnierz podziękował spojrzeniem pełnem wiernego oddania i wyszedł.

— Ten człowiek nie zawinił — rzekł generał do lekarza. — Trzeba jednak sprawę zbadać dokładnie. Zło musi być wytrzebione, musi!

Po kilku dniach wykryto dziewczynę, która zubożyła armję o kilkudziesięciu żołnierzami. Generał uczestniczył osobiście w sądzie polowym. Na widok oskarżonej ogarnęło sędziów zdumienie.

Stała przed nimi dziewczyna szesnastoletnia, o kształtach prawie chłopięcych. Jej wzrok niebieski pałał żywiołowym płomieniem. Nie krył się w nim żal czy skruca — owszem, żarzyła się swobodna, wyzywająca

niewinność. Uśmiechała się do sędziów nawet, wierząc, iż czarem swym roztopi chłód ich surowy; szczyrzyła białe zęby do eskortujących ją żołnierzy, jakby ufała, że stępi nimi ostrza ich bagnatów. Wszyscy obecni czuli, że ona do tej chwili nie widzi nad swą młodą głową wiszącej zagłady...

Oskarżyciel rzucił pytanie:

— Wiedziałaś, że jesteś chora?

— Dlaczego nie miałam wiedzieć? albo to ja frajerka!... Ale mnie to choróbsko nie zgryzie — zaśmiała się. Pieniędzy mam jak wody, hi! hi! hi! Doktorów sobie pluton wypiszę i wszystko będzie pięknie czysto.

— Kilkudziesięciu żołnierzy naraziłaś na ciężką chorobę. Armja poniosła niepowetowaną stratę.

— A to po co się do mnie pchali, ciekawa ja jestem bardzo. A do reszty, to im z tem dobrze. Mieli chłopcy próchnieć w rowach, to ich popuszczają. Albo to ja mało uwolniłam z naszego wojska i żołnierzy i panów oficerów. Był u mnie nawet jeden ze wszystkiem wysoki czyn, powiadał, co generał petersburski. Sławna jestem w całym korpusie, co on tu stał, zanieście tu narukowali.

— Dlaczego nie poszłaś z nimi?

— A to po jaką cholere, przepraszam pana oficera. Ja tu z tych stron jestem i po co mi się flańtać po świecie, czy ja to ścięra

jaka, czy co. Chłopców tu przecie też mam dość.

W izbie zapanowała taka cisza, że było słyszać skrzyp piór.

— No, wiecie już, na co byliście ciekawi, to mnie puście, bo mi się spać zachciało — pierwsza przemówiła dziewczyna, ale, zrozumiawszy, że śledztwo skończone, machnęła lekceważąco ręką, poprawiła chusteczkę na ramionach i zawróciła ku drzwiom.

Ale w progu zaświeciło jej w oczy iskrzące ostrze bagnetu.

Zatrzymała się zdziwiona.

— Nie zbytkuj! — kokietująco uśmiechnęła się do żołnierza, rozkraczonego pośrodku drzwi jak beczka, zawalająca przejście. Anzelm, Johann, jak ci tam, nie zbytkuj, powiadam ci. Ładnyś chłop, jak Boga kocham, co się będziesz ze mnie nadrwiwał.

Żołnierz ani mrugnął. Cień tylko jakiś przemknął po jego siwych oczach.

— No, puście, warchlaku! — syknęła nań i rzuciła się do drzwi ze złością, lecz w tejże chwili zachnęła się w tył, a na twarzy jej zjawił się poraz pierwszy wyraz trwogi. Piersi jej bowiem dotknął płazem bagnet i mróz przeniknął jej ciało aż do korzeni włosów.

Nagłym obrotem przypadła ku stołowi sędziów, co w milczeniu surowem śledzili

sprawę. Jej wydało się, że oni mają jej rozświecić coś, co czarną pomroką chyneło w duszę, a tak nagle, jak nagle głąz obsuwający się w górach ściąga człowieka w przepaść. Obejrzała wszystkich po kolei, lecz sędziowie wciąż zachowywali milczenie.

Wtedy to wydarł się z jej gardła krzyk:

— Co?!... co milczycie jak kamienie?!

Na to generał podniósł siwą głowę i głosem niewzruszonym odrzekł:

— Śmierć!

Dziewczyna, zrozumiałwszy, jęła się miotać, jak oszalała, wyc i przeklinać. Żołnierze musieli ją przemocą wyprowadzić z izby.

Skoro krzyki ustały, generał spojrzał po sędziach.

— Ta dziewczyna również nie jest winna. Jaki wyrok proponujecie panowie.

— Śmierć — oświadczył major.

— Śmierć — powtórzyli za nim inni sędziowie.

W parę minut wyrok został sformułowany na piśmie. Podano dokument generałowi, który, nie czytając, wziął pióro, podpisał i wstał z ławy. Oficerowie zerwali się, czyniąc miejsce komendantowi, który salutując wyszedł z izby posepny, jak... konieczność?!...

SZPIEG

— Stój — Halt! — krzyknął żołnierz w białą ciemność nocy.

Martwa cisza szła skądś, niby z ziemi przysłoniętej grubym obrusem śniegu, ogarniając ten laszek czerniejący o dwieście kroków, rowy strzeleckie i strwożoną myśl wartownika. Przy prawem jego oku drażniącym blaskiem lśnił bagniet. Zresztą noc bezświatlna, tu i tam wydająca z siebie skry mdłe, niby wspomnienie światła.

Znów o parę kroków wzdrygnęło coś za drutami, jakby ktoś, niby kret, podźwignął kopiec śniegu do góry.

Żołnierz strzelił.

Buro-krwawy opar światła półkolem przebił ciemność i w tejże chwili wzruszyło się wewnątrz ziemi, wyrzucając z siebie jakieś wydęte postacie, nabrzmiałe, niby kukły dziecinne, wystrugane z jednego kawałka drewna z zatyczką bagnetu. To żołnierze w kożu-

chach, w dziwacznych kaftanach, w szerokich czapach futrzanych, w baszłykach, wypełnili z rowu.

Wszczął się hałas. Runęły strzały. Skądś zdala przeciągłym basem ryknęło działo.

Okiść śniegowa z szelestem strząsała się z drzewa.

— Wer da? — Kto? — huczały głosy.

Pół plutonu wyczołgało się poza druty.

— Was? — Ne-e! Nichts da! — burczeli do siebie żołnierze.

— Ani, ani — zwidziało mu się — rzekł inny.

— Halt!

Tam się ruszyło coś. Dziesięć lampek oświetliło pole. Nic. Wtem żalosny pisk wypłynął z pod stopy jednego żołnierza. Przerażony odskoczył. Inny uderzył kolbą.

— Nie bieję! — jęknęło.

Na śniegu, przykryta kożuchem, leżała postać ludzka. Twarz kredowej białości, na niej dwoje śmiertelnie przerażonych oczu.

— Szpion! Ruski szpieg!

Skoczyli jak psy rozżarte na zranionego zającą, tłukąc kolbami, pięściami. Postawili na nogi — i oniemieli. Stała przed nimi drobna, chuda dziewczyna w szmatach i łapciach. Łzy, zlewając się z krwią, płynącą z twarzy poszarpanej od uderzeń żołnierzy, kapały z nosa i podbródka.

Dziewczyna stękając szeptała:

— Maminka — na czto? — za czto?...

— Skąd ty?

— Mamińka ty moja...

— Gadaj! — zdzielił ją trzcina rozwścieczony pan sierżant.

— Z tej—o! — derewni — tam —

— Co tu robisz?

— Mamińka kazała. Był petersburski generał... dał rubla dwa... mamińka kazała...

Od strony rosyjskiej sypnęły się strzały. Austrjacki półpluton cofnął się za druty, wlokąc za sobą do rowów dziewczynę.

Mimo pukaniny komendant kompanji nie zjawił się, ale żołnierze, przyzwyczajeni do tego, że kapitan w czasie ognia zawsze gdzieś się zapodziwał, nie dziwili się.

Sierżant odkomenderował jednego żołnierza, aby jeńca zaprowadził do kapitana.

Kapitan Liederhof bawił w swej zacisznej kwaterze o kilometr od rowów. Teraz podczas zimy bitw walnych nie prowadzono, więc głównemu buchalterowi wiedeńskiej filji Singera, obecnie kapitanowi rezerwowemu, udało się jakoś urządzić sobie wcale rozkoszne gniazdko na zimę. Wysławszy do obozu jeńców właścicieli chaty, Poleszuków, ozdobił ją meblami, dywanami, futrami „zdobytemi“ w okolicy i wiódł życie zgoła pokojowe, w pewnej mierze przyjemniejsze, niż

w Wiedniu. Był przecie na przestrzeni kilometra kwadratowego władcą absolutnym.

Właśnie umieścił się w wygodnym fotelu, przy świecy osadzonej w srebrnym lichtarzu, i z zadowoleniem przyglądał się starożytnemu ryngrafowi polskiemu z Matką Boską. Tę pamiątkę rodzinną odkrył dopiero dzisiaj i „zarekwirował“ w pobliskim dworze. Miękkimi, puchowemi palcami wodził po obliczu Najświętszej Panny Częstochowskiej, próbując paznokciem zedrzeć zczerniałą patynę na ryngrafie, aby dojść, czy jest ze złota, czy z miedzi. Jego małe oczki, które zdały się tonąć w tłuszczu, świdrowały antyk, obmacywały go ze wszystkich stron, jak nozdrza wyża.

Wtedy otwarły się drzwi i stanął w nich żołnierz z dziewczyną. Żołnierz wyprostował się i, trzymając rękę przy daszku czapki, czekał.

— Co tam?—zapytał kapitan, nie patrząc.

— Melduję posłusznie, panie kapitanie, szpion. Wzięliśmy go przed godziną o sześć kroków przed naszą pozycją.

— Powiesić — rzekł kapitan, nie odrywając oczu od ciekawego antyku.

— Podług rozkazu — odpowiedział żołnierz i zwrócił się ku dziewczynie, lecz nie znalazł jej obok siebie.

Zbita kolbami, zadręczona, przemarzną-

ta, znalazłszy się w ogrzanej izbie, omdlała — i cichutko osunęła się na podłogę.

— Wstawaj! — ryknął żołnierz i kopnął ją.

— Co tam psiakrew! Wynoście mi się do djabła — zaskrzeczał zirytowanym głosem kapitan i po raz pierwszy spojrzął.

Żołnierz podnosił dziewczynę.

Oczy kapitana Liederhofa zaszyły mgłą, a na ustach zjawiał się tłusty uśmiech. Kilkakrotnie zwilżył wargi językiem.

— Dziewczyna...?!

— Podług rozkazu.

— Śledztwo przeprowadzone?

— Nie, panie kapitanie.

— Odejść! Przed śmiercią muszę spisać protokół... Żeby prawu stało się zadość — dodał, zagadkowo uśmiechając się do siebie.

Skoro żołnierz opuścił izbę, Liederhof stanął nad zemdloną. Odrzucił jej z twarzy chustkę i przyglądał się rysom. Straszliwe zmęczenie rozlało na jej twarzy wyraz obojętnego spokoju. Na tle zwichrzonych, prawie białych włosów, leżała jasna, na policzkach lekko zaróżowiona, pospolita główka dwunastoletniego dziecka. Liederhof schylił się, poklepał nieprzytomną po biodrach, potem krokiem ciężkim, dysząc gorączkowo, wziął w rękę butelkę z kolońską wodą i jął skrapiać twarz zemdlonej. Po kilku minutach dziewczyna uniosła rzęsy. Wybłysnęły z nich

niebieskie, smutne oczy. Liederhof, nic nie mówiąc, z coraz żywszym pośpiechem krzątał się około małej. Pomógł jej wstać, kazał się umyć i zmusił do wypicia dwóch szklanek gorącej herbaty. Dziewczyna czyniła wszystko, co jej kazano, zgoła nie pojmując, gdzie się znalazła i kto jest ten pan opasy ze złotymi gwiazdkami na aksamitnym kołnierzu. Wymyta, ocucona, wyglądała na wiejskie, niewinne, zupełnie jeszcze nie rozwinięte dziecko głuchej wsi. Gdy usiadła na otomanie, założywszy ręce pod kolanami, kapitan gestem dał jej do zrozumienia, żeby ściągnęła z nóg szmaty i łapcie.

Klasnął w dłonie.

Wszedł ordynans.

— Czy wanna gotowa?

— Jak codziennie, panie kapitanie.

Liederhof wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził do drugiej izby, gdzie obok ogromnego chlebowego pieca stała wanna miedziana. Uśmiechając się dobrotliwie, ujął dziewczę pod brodę, pogłodził je po twarzy, dał jej jeszcze szklanek herbaty z koniakiem i dwie tabliczki czekolady. Poczem ją się rozbierać i dziewczynie nakazał zdjąć spódnicę. Wykąpawszy się najpierw sam, zdarł dziecku koszulę i wpakował je do wanny.

Ona zrazu piszcziała, jak tarmoszony kociak, ale wnet lube ciepło rozpromieniło się

po jej ciele. Jakieś mgły senne jęły się przewijać w jej głowinie. Przesunął się w nich obraz srogiej, zagniewanej maminki. Zobaczyła ją w chwili, gdy do chałupy wszedł „petersburski generał“ i wręczając papierowe ruble, zyzem wciąż zerkał na córkę... Ten obraz wyłaniał się zdala, daleko... i dziewczynę przejęło jakieś żalosne uczucie, a wargi szeptały: „oj maminka, maminka“...

Nagle pochwyciły ją tęgic łapy kapitana i rzuciły na otomanę. Nad nią sapał, jak spocony pies, tłusty kapitan Liederhof.

Gdy ranne wstały zorze, wyprowadzono dziewczynę z kwatery kapitana. Ordynans z żołnierzem musieli ją dźwigać, gdyż sama iść już nie mogła. Zatrzymali się przy pierwszej sośnie poleskiej. Ordynans zarzucił pętlę na szyję dziewczyny, żołnierz podniósł do góry i puścił. Dziewczyna zawisnęła w powietrzu. Prędko znieruchomiała, tylko białe jej, chude jak deseczki nogi, drgały poruszone wiatrem. Na twarzy zjawiła się błogość nieziemska.

MASKA POŚMIERTNA

Poznałem go lat temu dziesięć w pewnem zagranicznem mieście uniwersyteckiem. Próbowałem usnąć, gdy z ulicy zawołano mnie po nazwisku. Pod oknem stało w tę upalną noc lipcową dwu kolegów: Leidenruf i właśnie Kowelski. Leidenruf, nie rozporządzający wtedy własnem mieszkaniem, zaprosił się do mnie na noc i przy tej sposobności zaznajomił mnie z Kowelskim, znanym mi dotąd tylko z opowiadań i to głównie Leidenrufa. Kowelski od stóp po szyję wyglądał na tęgiego, rosłego robotnika; głowę jednak miał bohatera: wyniosłe czoło, ciemne, małe oczy, błyskające jak u wilka, zawzięte usta osnute nieokreślonym sarkazmem, duży nieco garbaty nos o nozdrzach ciągle ruchliwych. Zarys twarzy kanciasty, szczęki i policzki wyraziste. Liczył wówczas lat dwadzieścia.

Niewiele wtedy mówiliśmy z Kowelskim,

który wkrótce odszedł, a w parę tygodni potem wyjechał do kraju, gdyż nie miał już ani grosza. Coprawda wypadałoby mu zarzucić lekkomyślną rozrzutność, gdyż z dwustu franków, które mu wystarczyły na cały, pełny rok pobytu zagranicą, blisko połowę wydał na teatr i na książki. Mniemał on, że „wielki człowiek“ może całemi tygodniami żywić się kawałkiem chleba, albo nawet zgoła niczem, że, gdy doznaje upadku sił, winien nerwy podniecić ciemną, jak czarna kawa, herbata, jako że wielcy ludzie winni rzecz tak rzadką i cenną, jak 10 franków, wydać raczej na kupno Szyllera, niż na befsztyki z kapustą. Nie zwrócił jednak uwagi na tę właściwość naszego ciała, że nerwy żyją sercem, a serce posiada wytrzymałość ograniczoną, miary ściśle określonej dla każdej jednostki. Kto granicę tę niebacznie przekroczy, temu serce pęka. O tem jednak Kowelski w owych czasach nie raczył myśleć.

Zajmowało go wtedy coś wręcz innego. Do szesnastego roku życia pracował jako robotnik w warsztacie ojca. Kiedyż miał nauczyć się francuskiego, łaciny, języka niemieckiego? Skąd miał wiedzieć o Heinem i Machu? Czyż mógł uczęszczać na wykłady uniwersyteckie? Czyż podczas gorzkich godzin tej wstrętnej pracy, mógł dosłyszeć w piersi boski rytm, cichutki niby promień księżyca

szmer natchnienia? Tam dopiero, zagranicą, wsłuchując się w szaleństwo ducha oper wagnerowskich; pośród namiętnych dysput; w godzinach naiwnych, serdecznych zwierzeń, jakie czynił Leidenrufowi, tam dopiero w rozgrzającym mózgu i w piersi, kipiącej zachwytem, odzywały się dźwięki cytry Apollina.

*Leidenruf zapewniał nas, że Kowelski jest chłopcem genialnym. W każdym razie Kowelski był genialnym wynalazkiem — Leidenrufa. Poznał się bowiem na nim, odkrył go Leidenruf. Przedtem, zanim ten dziwny poławiacz dusz jął robić Kowelskiemu sławę, nikt o nim nie wiedział. „Genialny chłopiec“ mieszkał sobie gdzieś w mansardzie, czytał i uczył się, uczył się i czytał bez przerwy, niemal bez odpoczynku, w dzień i w nocy, aż do szału, aż do nieprzytomności, żywiąc się chlebem i herbatą. Zauważył go dopiero rybak dusz i poszukiwacz dziwaków, niepospolity i zaciekły obserwator i psycholog, młodzieńki, dwudziestodwuletni pokraka o spojrzeniu czarodzieja, początkujący ekonomista, filozof, niszczyciel i krytyk, Żyd polski Leidenruf.

Ten to intuicyjnie wyrozumiał, że Kowelski nie jest przeciętnym „studniarzem“. Pierwszy zaczepił go pewnego wieczora i od tej chwili żył z nim, uczył się go, śledził go

przez dziesięć dni i nocy. Przekonany, że genjusz może wcale prawie nie sypiać, spędzał Leidenruf w łóżku trzy do pięciu godzin — poczem zrywał się, uczył z Kowelskim, chodził z nim wyłącznie, jadł i to w ciągu dziesięciu dni i nocy. Z tych studiów wyniknęło, że Kowelski jest dzieckiem cudownem, dzikim kaprysem natury, niezharmonizowanym, mistycznym oberwańcem-samoukiem, zapowiedzią poety i filozofa, któremu los dopiero w 18-ym roku życia pozwolił upijać się rozkoszą nurkowania w oceanach ducha.

Leidenruf opętał Kowelskiego, olśnił go, jak zresztą bardzo wielu innych i usadowił na piedestale studenckiej znakomitości. Gdy w rok potem spotkałem Leidenrufa w Krakowie, zdumiała mnie zmiana jego opinii o dawnym ulubieńcu. Leidenruf kpił z Kowelskiego, nazywał go kabotynem, wyśmiewał jego poezje, które były jakoby wiernem echem Heinego (wierszy Kowelskiego z tego czasu nie znałem), uważał go za nieokrzesanego parobka, chociaż ostatecznie nie przeczył, iż Kowelski jest zdolnym „szczeniakiem“. Poprostu Leidenruf wziął z Kowelskiego to, czego potrzebował i odrzucił go, jak książkę wyssaną i jaknajdokładniej przyswojoną. Na szczęście człowiek nie jest książką, o czem Leidenruf nie wiedział. Czy tę ważną wia-

domość powziął kiedykolwiek, nie wiem, ponieważ ten niepospolity Żyd w dwa lata potem umarł śmiercią istotnie niespodziewaną. Przeziębił się i po dwu czy trzech tygodniach skonał. Był on nieporównanym wędrowcem po ciemnej krainie namiętności ludzkich i najtragiczniejszym męczennikiem żydostwa, jakiego znałem.,

W jakieś dwa lata potem spotkałem Kowelskiego w Saskim ogrodzie w Warszawie. Szedł szybko, uśmiechając się zaledwie uśmiechem ironicznym, a za nim pośpieszał jakiś pan, wyglądający na buchaltera i szeptał doń:

— Nie rób pan tego. Będę miał pana na sumieniu. Czyś pan zwarzował? Ja żartowałem, ot gadałem tylko od „nieczewo diełat“.

Kowelski, ujrzawszy mnie, zarumienił się, stanął, jak wryty, uklonił się i, burknawszy coś natrętowi na odczepne, zbliżył się do mnie. Zapytałem go, co to było z owym nieznanym. Z brutalną niemal niechęcią objawił mi, że ów pan, całkiem mu nieznaany, przysiadł się doń na ławce i zaczął ni stąd, ni zowąd rozmowę gruntownie pesymistyczną, w której twierdził, że życie nie jest warte zapalki oraz, że świat jest plugawą norą, a ludzie głupiem i podłym robbactwem.

Kowelski, wysłuchawszy do końca, z ca-

łą powagą oświadczył nieznajomemu, że zgadza się z nim, że jego wywody są niezbite, że zatem, wobec marności tego żywota, należy zachować się przynajmniej konsekwentnie i utopić:

— Idę też to zrobić — zakończył i ruszył w stronę Wisły.

W chwili naszego spotkania dążył tam właśnie, pesymista zaś, przerażony, pędził za nim, wysilając się na argumenty wręcz przeciwnie, niż przedtem, byle tylko przypadkowego wyznawcę wstrzymać od samobójstwa. Nie dopytywałem się Kowelskiego, dlaczego tak zakończył swą rozmowę. Później dopiero zrozumiałem, iż w ten charakterystyczny i niewątpliwie oryginalny sposób chciał dotrzeć do rdzenia rzeczy: czy też ów pesymista wierzy naprawdę w to, co gadał?

I kto wie... Kowelski tak już zaplątał się we własne sznury, iż przez chwilę gotów był się na nich powiesić. Gdyby ów Saski pesymista powiedział: „i ja też będę konsekwentny“, Kowelski byłby z nim poszedł topic się.

W czasie tego spotkania uderzyła mnie zmiana w wyglądzie „genjalnego chłopca“. Wychudł, zżółkł, tylko białe szczęki żarłocznie, rzekłbym: krwiożerczo, wyskakiwały mu w chwilach „demonicznego“ uśmiechu, który mu pozostał.

Wkrótce pożegnaliśmy się wówczas. Dopiero po kilku tygodniach odwiedził mnie i odtąd widywaliśmy się coraz częściej. Żył w ostatecznej nędzy. Nie zarabiał nic i nie wiedział, jakby się wziąć do tego. Zamiast kołnierza i krawatu owijał szyję czarnym szalikiem, a na grzbiecie dźwigał jakieś płaszczydło na wyrost. Nocował u rodziny, którą nienawidził i która jego nienawidziła. Szyderstwo rodziców i rodzeństwa wobec „lenia“ przekraczało granice ludzkie — było potwornem naigrawaniem się nieszczęsnej ciemnoty z człowieka, co wciąż czyta i czyta, a nie przynosi do domu ani grosza. Dlaczego Kowelski znosił te męczarnie? Tego pojąć nie mogłem. Później dopiero, znacznie później zrozumiałem. Tkwiła w nim zabobonna trwoga wobec „świata“. Nie był tchórzem. Kiedy go raz napadł jakiś rzezimieszek, Kowelski potłukł go. Czasem po nocach wałęsał się po najciemniejszych zaułkach przedmieścia, bez lęku, czując się tam bardziej bezpieczny, niż w biały dzień na Krakowskim Przedmieściu. Była to trwoga artysty i uczonego, urodzonego w suterynach, wobec ludzi obleczonych w dobrze skrojone ubrania, robiących dobre interesy, dobrze jedzących i pewnych, że wszystko na tym bożym świecie jest dobre i takie, jakie być powinno.

Zdawało mu się, że jest marniejszy niż

oni, ponieważ jeszcze prawdy nie przemyślał, aczkolwiek czuł swą wyższość nad nimi podczas samotnych walk w pracy i męce. To złudzenie niższości wobec tamtych wyrastało również z nędzy, niezdarności towarzyskiej i śmiesznego ubrania. Wyglądał na ulicy tak potarganie i w zwierciadle zimnych spojrzeń ludzi obcych sam sobie wydawał się tak podejrzanym, że budził podejrzenie. Pewnego razu, ni stąd ni zowąd zaczepił go na ulicy agent policyjny, wciągnął do bramy i zrewidował jaknajściślej. Lecz Kowelski, powtarzam, nie był tchórzem. W obecności ludzi obcych milczał, targał maleńkie wąsiki i patrzył zachłannie; uczył się, słuchał, obserwował, docierał myślą do korzeni, z zaciętkością samouka i parwenjusza. Bywało, iż nagle zaczął się zachowywać jak istotnie nieokrzesany podrostek, lekceważący sobie „starszych”. Wtedy na pytania odpowiadał wyłącznie logicznie i dokładnie, kompromitował ukryte przesłanki mówiących. Więc raził, złościł, oburzał, korcił, budził niechęć. Często, gdy w milczeniu oparł swą lwią głowę na ręce i szyderczo migał okiem, budził obawę. Nie umiał żyć. Nie schlebiał nigdy, wstydził się wyjawiania uczuć, był stale rzeczowy. Sam jeszcze nie wiedział, kim jest właściwie i do czego ma dążyć. Narazie uczył się, czytał, chodził do teatru, oglądał, słuchał i podpatrywał.

W końcu los rzucił mu zapytanie, bo niepodobna tego nazwać sposobnością. W każdym razie pozwolił mu zbliżyć się do poznania siebie przez odrzucenie pewnej drogi życia, co prawda, niezmiernie ciężkiej. Wzięto go do wojska. Wywieziono go aż na granicę Chin. Tam wśród nagich pagórków, na krańcu świata, wtajemniczał się w umiejętność wojskową. Uczył się, jak zawsze, sumiennie, dokładnie, zaciekle. Służył w artylerji jako prosty żołdat, ale, żeby uniknąć udręczeń „marnowania się“, udawał, że sam pragnął poddać się tej żelaznej próbie. Po piętnastu miesiącach wrócił jako starszy żołnierz, co wobec pochodzenia polskiego dowodzi (w wojsku rosyjskiem niechętnie odznaczano Polaków), iż uczył się dobrze. Powoli można było z niego wydusić mnóstwo ciekawych, bystrych obserwacji. Poznał armatę, konia i dyscyplinę wojskową, lecz losu swego nie odgadł; wniknął w duszę żołnierza, zrozumiał różnicę między żołdatem rosyjskim a polskim.

Przekonał się tylko, że go żołnierka nie nęci. Wodzem nie będzie.

Zmiękł nieco, ale w oczach tlił się i nadal ponury, zagadkowy płomień. Często namyślał o śmierci, obawiał się obłędu, mówił o nim, jako o stanie szczęścia, gdyż napełnia poczuciem potęgi. Przewartościował w tym czasie siebie i swe otoczenie z okresu przed-

wojskowego. Odezwała się w nim skryta niechęć, prawie nienawiść do zmarłego już Leidenrufa. Drwił ze swoich ówczesnych poezji, wątpił, czy posiada talent pisarski, niemniej wrócił do zacieklej pracy umysłowej. Zrazu mieszkał jeszcze u rodziny, potem, dostawszy parę lekcji, wynajął sobie u znajomych kuchenkę i tam mieszkał, ucząc się od rana do nocy. Był skąpy. Dusił każdego rubla zarobionego i zbierał pieniądze, wydając najwięcej na książki i na teatr. Jadał bardzo mało, ćwiczył się w głodomorstwie, eksperymentując nad sobą, aczkolwiek miał serce chore. Wszystko jedno: jeśli nie wytrzyma, niechaj pęknie. Lecz kiedy nadchodził atak, nieszczęśnika ogarniał strach śmiertelny. Biegł do lekarza i słuchał jego rad przez tydzień, poczem wracał do dawnego trybu życia. Nie nawidził swego dzieciństwa i pierwszej młodości, oraz rodziny. Mówił o niej z pogardą i wstrętem, w chwilach podniosłych z dobroduszną ironją, ale gdy po śmierci ojca matka wpadła w nędzę, zaniósł jej kilkadziesiąt uciulanych rubli. Wtedy to napisał pierwszy swój utwór prozą: potworny, dziwaczny obraz środowiska, w którym się wychował. Obok ustępów płaskich i naiwnie „literackich“, wyłaniała się naraz wizja o grozie krwawych szyderstw Goy'i. Nigdzie uśmiechu, ni słońca, tylko chłodne, ponure kaza-

maty ducha. Były to pierwociny samorodnego twórcy. Zniszczył je.

I znów utonął w książkach i ćwiczeniach eksperymentalnych. Pragnął wyrobić w sobie trwałe poczucie nieskończoności. Próbował przemóc znużenie i pracował osiemnaście godzin na dobę. Zwolna wyzwalał się z sute-ren. Skrytym, drwiącym dowcipem wyrabiał sobie coraz szersze prawa i coraz większą pensję u adwokata, którego od pewnego czasu był sekretarzem. Z brutalnością parwenjusa podglądał kulisy życia możnych i kompromitował ich w oczy, widząc cały splot niecných kłamstw i ohydnych, drobnych podłości życia codziennego. Wyrastały mu pazury.

W tym okresie czasu na horyzoncie jego zajaśniały dwie nowe, nieznane gwiazdy: ojczyzna i kobieta. O Polsce nigdy nie myślał ten niegdyś „uczeń“, potem „sługa“. Nikt go nie nauczył treści słowa „ojczyzna“, bo nauczyć tego nie mogła szkoła rosyjska. Teraz żył wśród ludzi, których myśli i rozmowy organicznie niejako splatały się z tem pojęciem. Nasiąkał atmosferą irredenty polskiej, wiodącej słabiutki żywot w ówczesnej Warszawie.

Z kręgu myśli i twórczości, z walki z ludźmi wrogimi, a co gorsza lekceważącymi wszystko, czego nie pojmują, a pojmują tylko

swój interes nadmiernie roztyły — odrazu wszedł w zaczarowany wir namiętności. Zbyt gorący i gwałtowny duch miotał się w Kowelskim, ażeby go zwodnica nie uwikłała w pajęczę sidła marzeń o szczęściu. Otworzył się przed nim nieznany dotąd teatr płomiennych wstrząśnień, gorzkich pchnięć rozsądku niewieściego i słodczy wszelkich, nieuchwytnych, jak zapach kwiatu.

Jego umysł prawy i gruntowny nie umiał walczyć na tem polu bitwy, skąd rzadko mężczyzna wychodzi zwycięzcą. Tylko doświadczony „lew“, pogromca „serc“ (zazwyczaj zresztą łatwo dostępnych, bo nie znających żaru szczerzej namiętności), umie stanąć godnie i odeprzeć atak... kobiety dwudziestoletniej. Kowelski zaś od tej pory, a liczył już lat dwadzieścia pięć, zachował czystość. Mężczyzna, nie znający uścisku kobiecego, ponieważ całą pierwszą młodość strawił na poszukiwaniu siebie, mężczyzna, wychowany w piwnicznej atmosferze brudnego sklepikarstwa, miazdzącego kwiat wszelkich uczuć i pragnień, stanął do walki z ładną dziewczyną... Bywało, iż zrywał się do ataku, on, pochłaniacz najwznioślejszych natchnień i badacz najzawilszych wytworów ducha ludzkiego, przeto młodzian, gardzący „puchem marnym“ i szedł do boju, niby rycerz zbrojny mieczem okrutnym i strasznie zabój-

czym, osłonięty stalowym szyszakiem, a serce chroniący za tarczą ze skóry bawolej... przeciwko swemu sercu. Ale gdy kowanym mieczem ciął, koncerz uderzał nie o żelazo, lecz w labirynt pajęczych, jedwabnych niteczek i ześlizgiwał się po nich łatwiej, niż gdyby uderzał w pancerz hartowny. I jakżeby bohater potrafił borykać się z motylem? Miljonem nici omotany, zatruty słodką ambrozją piersi niewieściej, uwiedziony czarem ust dziewczęcych... z rozpaczą przemyślał całymi nocami, w jaki sposób zdzierżyć wrogowi... Ale cóż w tych sprawach może myśl mężczyzny, który tak długo „gardził“ kobietą?

Kowelski tedy postanowił pracować na siebie i na żonę... Kochał tak gorąco i tak po rycersku, że nie zniósłby, aby jego żona cierpiała niedostatek. On sam — ach to całkiem co innego! On mógł żywić się chlebem i herbatą, stołować w taniej kuchni, poddać się próbie siły w koszarach syberyjskich, a gdy zdrowie jego szwankowało, pić kwarantami niegotowane mleko i zjadać pół funta surowej słoniny dziennie, by w tydzień zapomnieć o słabości... lecz ona! Ona, kapryśna mimoza, dobre, kochane stworzenie, żmijka, domagająca się stanowczo jedwabnych pończoszek... ona, ona!

Kowelski kochał.

Lecz właśnie, gdy już z całą zabiegli-

wością jął przygotowywać się do uwicia gniazdka... Dulcynea wyraziła wątpliwość, czy bohater będzie zarabiał dość pieniędzy.

Zdawało się, że związek się rozpadnie.

W tym czasie Kowelski napisał dłuższy utwór prozą, pełen zgrzytu bagnetów i huku armat na płaszczyznach syberyjskich. Rzecz była jeszcze nierówna. Drgały w niej spazmatycznym motywem uczucia patryjotyczne, lecz autor jeszcze siekie nie posiadał. Zaledwie punktował ślady swych ścieżek samotnych, zaledwie majaczył o świecie znanym sobie, który jednak należało twardemi linjami obrysowywać i ująć w żelazne płoty formy. Rzecz tę pisał w czasie, gdy dusza jego broczyła 'krwią pod ciosem zawodu miłosnego, pisał ją przez dwa tygodnie, dniem i nocą, niemal bez przerwy, jak pijany. Miała już ukazać się w druku, gdy ku zdumieniu tych wszystkich nawet, co 'spodziewali się — wybuchnęła wojna światowa.

Na dwa tygodnie przed wojną wybrałem się z Warszawy na kilkotygodniowy odpoczynek poza granice Królestwa i ostatniego wieczoru poraz ostatni widziałem Kowelskiego. Było nas kilkoro. Z czterech obecnych tam mężczyzn dwóch nie żyje, albowiem pozabijała ich wojna, trzeci, jako lekarz wojska rosyjskiego, cztery lata spędził w niemieckim obozie jeńców.

Kowelski nie przedstawiał się już obcym jako podrostek dziwaczny. Był już więcej „ogładzony“, aczkolwiek ciągle jeszcze straszyl nieznajomych swych szyderczym uśmiechem i ponurym błyskiem spojrzenia. Żegnaliśmy się na krótko, jak wszyscy myśleli, tedy Kowelski nie uważał za stosowne całować się na pożegnanie i aby tej „sentymentalnej scenie“ zapobiec, włożył sobie w chwili krytycznej między zęby zapalną... Nie przeczuwał, snąc, czego i ja nie przeczuwałem i nikt z całego towarzystwa, że to już po raz ostatni... i na wieki...

Uśmiechnąłem się, ściskając mu rękę na pożegnanie i on odpowiedział również uśmiechem, uśmiechem tak rzadkim na jego ustach zgorzkniałych, wyrażającym głęboką przyjaźń, jaką żywił dla mnie, dla żony mej i dziecka. Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z Warszawy.

Kowelski został sam. Sam samusieńki, ponieważ nikomu dotąd nie ufał, oprócz mnie. Sam samusieńki został w swej kuchence, gdy w całym świecie moce podziemne gorączkowo podsycaly pożary, co za dni parę miały z podziemi wyrwać się, jak Erynje łakome zemsty i smagać kulę ziemską za zbrodnie dziejowe, za winy i nędzę wszystkich na świecie, za płytkość serc i przyziemność charakterów, za krótkowidztwo „mocarzy“ i dyplomatów... za Polskę..

Ostatni rok życia Kowelskiego tworzy jakby zamknięcie dramatu. W dwa miesiące po wybuchu wojny powołano go do wojska. Miał bronić „ojczyzny rosyjskiej”—lecz serce coraz groźniej ostrzegające nie pozwoliło mu zostać „gerojem”. Po kilku miesiącach wrócił do Warszawy. Ożenił się i miał dziecko. Popadł znowu w najczarniejszą nędzę. W zamęcie i chaosie wojny—nie znalazł się nikt, coby zwrócił uwagę na „jednego”, gdy „giną miliony”. Żona mieszkała u swych rodziców, on u swej matki, która jeła się znęcać nad chorym „bestją nierobą”. Dawała mu jeść chleb zapleśniały, którego nikt inny w rodzinie nie jadł. Kowelski, oczywiście, wolał pościć, zapadł na tyfus brzuszny i serce mu pękło. Umarł pod koniec sierpnia 1915 roku.

W rok potem dopiero doszła mnie wiadomość o tej śmierci. Nie znam szczegółów ostatniego okresu życia Kowelskiego, lecz nie trudno go odtworzyć. Nigdy mu się nie wiodło; do ludzi szczęścia nie miał. Jego zewnętrzny diabolizm odstręczał odeń ludzi, patrzących po wierzchu.

Teraz, wróciwszy z wojska, chory i rozstrojony, znalazł się na bruku, dosłownie na bruku. Wyobrażam sobie, jak musiał przerażać ludzi, których nagabywał o pracę, swemi wychudłemi, żółtymi policzkami i krwiożerczo

wyskakującymi szczękami, jaką podejrzliwość budził swym „djabelskim“ uśmiechem, gorzkiem piętrem posępnego dzieciństwa i rozpaczliwych zmagania się...

Wśród społeczeństwa szerzyła wówczas spustoszenie zaraza „istinno ruskiej chandry“. Powszechny upadek ducha i własna choroba zabiły w nim ostatnie drgnienia woli do życia samodzielnego. Żywiół poniosł go w ślepą uliczkę bezrady zwątpienia, opieszałości woli i serca. Jeśli czynił wysiłki, ażeby wydrzeć się z bagna tej niewoli, czynił je bez przekonania, że istnieje jakaś wartość życia... oprócz żony i dziecka. To zaś dla człowieka za mało. I tak pozwalał zagasnąć w sobie ostatnim iskrom życia... Śmierć przyciągała już, jak ukojenie. Czy usłyszał szczęśliwy rytm prawdy... czy dojrzał ją bodaj przed śmiercią? czy wejrzał w nieskończoną otchłań bytu, kędy bezlik słońc wiruje w harmonijnym kręgu wieczności? czy też jak potępieniec aż do ostatniej chwili wił się w gorączce niewiedzy i rozpacz?... Niedługo przed śmiercią zdarzył mu się wypadek tragikomiczny, niby cień posępny, tajemniczy, co go od kołyski prześladował... Zaczęła go mianowicie poszukiwać policja, jako obwinionego o kradzież, popełnioną jakoby w Petersburgu przed ośmiu laty. Kowelski mieszkał istotnie kiedyś w Petersburgu przez kilka miesięcy jako towarzysz

kolegi, którego przygotowywał do egzaminu. Zadawał się tam z jakąś bandą sąsiadów lokatorów którzy własny występki zrzucili widocznie na nieobecnego. Dlaczego sprawa ta ożyła dopiero po ośmiu latach? Któż zdoła rozwikłać ponure tajemnice policji rosyjskiej? Kowelski odtąd już do końca życia nie meldował się, aby uniknąć prześladowań. Jak zwierz, bez legowiska własnego, włóczył się po stolicy dziki ten człowiek niepospolity, aż chory, na zlecenie lekarza, sam wszedł w bramę szpitala, skąd potem już wynieśli go na Powązki.

W taki to nędzny sposób zeszedł ze świata „genjalny chłopak“.

Wśród tych anarchicznych stosunków, jakie w gospodarce narodu naszego istniały przed wojną, śmierć Kowelskiego nie stanowi wypadku wyjątkowego. Co innego przejmują tu grozą.

Konał z poczuciem, że dzieła swego nie spełnił... a dla człowieka niema nic smutniejszego. Umierać z poczuciem, że się ginie jak bezpłodny robak, skoro ognie twórcze paliły serce, skoro przepelniały je siła i pewność zwycięstwa...

Niepodobna określić, czego byłby dokonał Kowelski. Jeśli umierał w 27 roku, zostawiwszy ślady, iż posiadał talent samorodny, jeśli w ciągu lat 9 pracy, to znaczy od chwili

opuszczenia warsztatu, zdołał nabyć dokładną znajomość języków: rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego i łacińskiego, poznać filozofję, zgłębić najważniejsze dzieła ludzkości europejskiej i przystąpić do lepienia swej cegiełki — to za lat dziesięć byłby stworzył coś trwałego. Czemkolwiek zresztą zająłby się, robiłby to doskonale. A takich ludzi w Polsce dotąd jest mniej, niż gdziekolwiek...

Pisane w r. 1917

POWSTANIEC

Na temat, wzięty z „Wiernej Rzeki“ Stefana Żeromskiego

Powstaniec przesadził żywopłot i ogromnemi skokami rwał przez rozmiękłą łąkę ku rzece, gdy mu około ucha świsnęła pierwsza kulka. Obrócił się. Na ogrodowem wzgórzu, z którego zbiegł przed chwilą w ucieczce, stało dwóch kozaków, celując. Inni na łeb na szyję staczali się po pochyłości. Powstaniec utwierdził na głowie barankową czapkę, przytulił do piersi torbę, zawierającą tajne dokumenty województwa i rzucił się ku rzece, której szum szelestny, poważny i nieustanny, jak szmer krwi, śpiewał swą pieśń odwieczną, wiślaną.

Wyginała się tu rzeka w półobręcz. Uciekający odrazu zmiarkował, że zyska na czasie, trzymając się jak najdłużej ziemi, niż gdyby miał się powierzyć wodzie samowolnej. Wisła mu śpiewała, a on zrywał się, ledwo trąciwszy palcami stopy o ziemię, odbijał się znowu, robiąc susy olbrzymiej wiel-

kości. Kulki, świszcząc, padały w grudę wilgotną, rozpląszczały się o kamienie, albo, zahaczywszy o loki czapki, wyszarpywały z niej kłaki. Jedna pochwyciła gruby pokład skręconej wełny, i wtulona w nią, jak w kożuch, koziołkując w powietrzu, zaszyła się w kretowisko o kilkanaście kroków przed uciekającym. Zauważył ją i roześmiał się szyderczo.

Gnał z taką szybkością, że odległość między nim a żołnierzami wyraźnie zwiększała się z jednej sekundy na drugą. Fruwał jak ptak i czuł się ptakiem, bez znużenia szybującym w powietrzu.

Zatrzymał się dopiero nad brzegiem.

Szara woda, miejscami zażółcona, gdzieindziej okryta białą pianą, szła wolno i statecznie, szeroko i głęboko. Sykając i ścieraając się o siebie, szypiąc i zgrzytając, niosły kry, lśniące matowo w głuchem świetle marcowego poranka. Były różnej wielkości i grubości, jedne, jak odłamki stłuczonej szyby, inne duże, niby malachitowe bryły pałacu, zrujnowanego przez wylew.

Obejrzał się.

Soldaci potykali się i przewracali na śliskich zakłęśnięciach gruntu, dźwigali się na ciężkich szabliskach, i biegli znowu — krzycząc i wyklinając. Mieli jeszcze jakieś trzysta kroków do niego.

Powstaniec usiadł, ściągnął obuwie i spodnie, zwinął je i rzemieniem przywiązał do torby, w której mieściły się ważne dokumenty i pistolet. Tłumok ten umieścił na plecach, jak tornister—i runął w rzekę.

Przyhołubiła go woda lodowatą objęciem.

Płynął z prądem ale na ukos, zmierzając w stronę przeciwnego brzegu, gdzie czekał nań cierpliwie martwy, zbity bór, przyjaciel obojętny wprawdzie, ale niezawodny. Rozbijał wodę żelaznymi pletwami ramion, krwawiąc dłonie o drzazgi drobnego lodu. Nie zważał jednak na to. Żywiołowy strumień życia tryskał z serca, rozlewając po żyłach krew zuchwałą, przepelniając duszę szaleństwem siły nie wątplącej w siebie. Czuł, że torbę, ukrywającą we wnętrzu tajemnice ruchu, że on to serce Polski w miejsce bezpieczne unieść musi! Wiedział, że do tego lasu—tam—dotrze. Dusza jego była, jak perpetuum mobile—siła sama z siebie odradzająca się.

W miarę oddalania się od brzegu, rosła w nim energia. Prał wodę ramionami i dłońmi, rozpychał ją nogami, pięścią rąbał kry i płynął. Gdy się zbliżył do kry, którą sobie upatrzył jako prom, usłyszał za sobą huk i plusk wody, jakby rzeka jęknęła. Dwaj kozacy, co przedtem strzelali doń z pagórka ogrodowego, śpiesznie osiodłali konie i po-

cwałowali nad rzekę. Oni to skoczyli w wodę, zanurzyli się i wychynęli. Konie, rżąc jęklawie, potrzęsały łbami, strzygły uszami i stękały ciężko, ale parte ostrogami płynęły, rozgrzebując wodę przednimi kopytami.

Powstaniec ścisnął dłońmi ostry kant kry, targnął się z wody i nagiemi kolanami oparł na lodzie. Kra, jakkolwiek gruba i szeroka, ugięła się pod jego ciężarem i zaciekła z tej strony wodą. Wymacując stopami miejsce równowagi, przeszedł, kiwając się na nogach, na drugi koniec lodowej płyty, wrócił ku środkowi, znowu się cofnął, przesunął w bok, balansując i wymachując wciąż rękami, jak pijany. Trafił nareszcie, zatrzymał się i zniechęcił. Oczy posłał na zwiady.

Kozacy przybliżali się. Konie, wybałuszwszy przekrwione oczy, rozdziawiały zapienione, żółte szczeki i stękały straszliwie. Żołnierze, szukając ciepła, pokładali się na ich karkach. Wpół drogi chcieli zaniechać pościgu, zawróciły ich jednak krzyki esauła, komenderującego z brzegu i jego pistolet, którym wygrażał. Więc dziurawili boki końskie ostrogami i okładali je szablami, pchając zwierzęta w stronę kry, na której stał półnagi człowiek, zmartwiały teraz, niby złodowaciały kształt ludzki.

Gdy kozacy znaleźli się o dwadzieścia kroków od niego, sięgnął naraz prawą ręką

do torby, wyciągnął z pod papierów pistolet, opatrzył go i, celując w białą plamkę na łbie końskim, wypalił. Koń, rażony strzałem, zarżał przeciągle i, podrzuciwszy się w górę, zatonął z jeźdźcem.

Tylko krwawo-żółte bańki śmiertelnym wiankiem majaczyły chwilę w miejscu, które pochłoneło konia i kozaka.

Drugi kozak, zdjęty strachem, obluźnił cugle, skutkiem czego koń jego głębiej zapadł w rzekę. Nad wodą czernił się tylko wyciągnięty kurczowo łeb o wzdętych chrapach i krwawy ozór. Po chwili i łeb zniknął. Kozak, wyrwawszy nogi ze strzemion, oszalałemi rękami łapał szyję zwierzęcia pod wodą. Nagle rozległ się skowyt obłąkańczy, krótki. Dłoń trafiła między szczęki tonącego konia i została zmiażdżona. Kozak zatrzepotał w powietrzu buchającym krwią ochłapem ręki i zwałił się do rzeki.

Chłód żelaznemi kolcami kłuł stopy powstańca coraz szczelniej przywierające do lodu. Więc znowu zaczął skakać. Szybko przechodził z jednego końca kry na drugi, raptownie odwracał się i podrywał w górę, stygnącemi dłońmi rozcierając golenie i stopy. Zapomniał o wrogu czatującym na brzegu. Najważniejszą rzeczą było teraz rozgrzać kostniejące stopy.

Nastąpiło w nim rozdwojenie istoty na

ciało i duch. Duch rządził ciałem i był odeń niezależny. Cierpienie przedostawało się wprawdzie do świadomości, lecz tylko w roli szpiega, który ostrzegał przed zagrażającym niebezpieczeństwem. Wówczas duch, czuwający nad dzielnością ciała, rozpościł nad nim władzę. To, co zdawałoby się fizyczną niemożliwością, urzeczywistniało się w sposób łatwy i naturalny. Powstaniec mógłby nakazać ciału wykonanie trudów niewypowiedziane mozolnych i stałoby się to bez unicestwienia ciała.

Przeto radował się w duchu rozgorzałym oną potęgą, przeciwko której nikt nie może...

Stał na tej krze wiślanej, niby fakir z duchem sprzymierzony, na wszelką dolegliwość obojętny.

Naraz zagrzechotały wystrzały. Jeśli już nie można go wziąć żywcem, choćby ranym—niech zginie!

Esauł rozstawił sześciu pozostałych mu żołnierzy w sznur, w odległości półtora kroku jeden od drugiego. W ten sposób cała przestrzeń kry stanowiła śmiertelne pole, które raz wraz zasypywał ogień karabinowy. Równocześnie z ruchem kry zmieniał pozycję oddział żołnierzy.

Powstaniec zamarł na punkcie równowagi swej zielonej tratwy. Wzrok skupiony a płomieniejący jasnym żarem zapuścił w twa-

rze żołnierzy, wdzierając się do serc nieprzyjaciół. Nadludzką władzą dostawał wiadomość, który z żołnierzy wziął cel właściwy i na takiego spadłszy przemocą rozegzaltowanego ducha, sprawiał, iż ramię strzelca zostało poruszone. Kula chybiała.

Po kilku salwach niepokój począł ogarniać kozaków. Spoglądali na siebie strwożonemi oczyma. Ten i ów zęgnął krzyżem świeży ładunek, a ręce im drżały, gdy patrzyli na przekłętego Lacha, którego nie imają się kule. Wtedy esauł zakławszy, odebrał karabin najbliższemu, rozkraczył nogi i długo uważnie celował. W chwili, gdy miał szarpnąć za kurek, zaćmiło mu się w oczach, a równocześnie poczuł jakby pchnięcie w piersi. Huknął strzał — i chybił.

Tymczasem kra zwolna podrywała do brzegu. Niosący ją prąd nie szedł równo, ale kręcił się wężowo. Esauł obliczył, że kra wkrótce znacznie zbliży się do nich. Zauważył to również powstaniec i, po drugim, również chybionym strzale esauła, rzucił się do wody.

Kilkakrotnie odgarnął wodę wściekłemi uderzeniami ramion, za każdym razem czyniąc ogromne podrzuty. Twarz jego była teraz posępna, niemal czarna, poorana krzywiznami zagłębień i wypukłości, nito musku-

łami ducha, spojrzenie powagi pełne a gwałtowne, jak ogień wylatujący z lufy.

Gwarnie szumiała woda wiślana. Szklanym brzękiem dzwoniły tafelki lodu ślizgając się na powierzchni, głaskane zmarszczkami fal przez wiatr rozbudzonych.

Niby wrzący grzmot, zakotłował w powietrzu wrzask targających się w gniewie kozaków.

Pływaka ocucił ten ryk bezradnie pomstującego wroga.

Junacki, naigrawający się śmiech zapalił jego twarz. Uczynił w wodzie pół-obrót i sino-krwawem, opuchniętem z pracy ramieniem posłał nieprzyjaciołom lekceważące pożegnanie.

W tymże jednak momencie zamgliło mu się w oczach. Serce zatłukło gwałtownie, jakby rozsadziło swą kolebkę i uwięzło w gardle. Dech stanął. Niby stygnący ołów w rurach ścinała się krew w żyłach. Ręka w żelaznej rękawicy sunęła od czaszki, tyłem głowy, po szyi i plecach, a jej dotknięcie wypijało życie z komór i cieśni, z włókien nerwowych. Zdawało się pływakowi, że mu z goleni i łydek wyrosły ciężkie pokrywy metalowe, boleśnie zrywając ku dołowi ciało, szamotające się jeszcze z napierającym zewsząd żywiołem. Białoszare lśnienie, niby wszędy-obecna nuda, tumaniało się przed oczyma na płaskich i gładkich równinach.

Tępy blaskiem skrzyły pyłki szronu po tej dali niezmierzonej, a tylko hen—hen—śniły wątłe kontury sosen, jak szkielety nikłej, wychudłej trawy. Senność, niby sierp przekrawający łodygę kwiatu, zachodziła do tej szczeliny żywota, kędy pełga wieczyście, nawet we śnie, iskra żywej świadomości.

Och — już... już...

Nogi i zgrabiałe ręce płaczą się w wodzie, jak bezwolne członki tonącego.

Och — już... już...

Żelazna rękawica parzącym jak mróz uściskiem, gniecie szyję, miażdży słuch i wzrok...

Naraz jęk rozplynał się w duszy. Głos straszny, jak wyrok, podniósł się z otchłani i djamentowym dziirytem przewiercił pokrywę mrozu, coraz głębiej kładącego się na oczach, uszach i ustach. Zdało się tonącemu, że tysiąc nożów, postrzępionych w ząbki cieniutkie, werznęło mu się w ciało, siekąc i piłując każdy mięsień, nielitościwie drąc serce, piersi, żyły i mózg. Ból bardziej dojmujący, niż pieczenie na żywym ogniu, niż ćwiartowanie i łamanie kołem, niż wbijanie na pal, wydarł usypiającego z miękkich powić białoszarej śmierci. Zacierpiała w nim każda cząstka ciała, każdy włos, wszystko, co boleć może w ludzkim ciele, zaskwierczało od tego bólu, powołującego z rozkosznych otuleń śmierci do okrutnego życia.

Stęknąwszy jak dąb pod dociskiem piorunu, uniosła się z lubieżnych opończy dusza.

Wyplunął z ust wodę, która się już wsączyła, wzmógł się w sobie, potrząsnął plecami, żeby się przekonać, czy torba nie zatonęła i, jak ryba, wyplusnął w górę.

Poniechał go dur śmierci.

Rozrósł mu się teraz w oczach ów las na drugim brzegu, spotęźniał i zagędził przychylnie. „Dobrać się jeno do tej drugiej kry“ ...

Zatracił świadomość siebie. Jakby nie istniało już „ja“ — tylko siła jakaś, jednakowo niezmierna i niezniszczalna, jak żywioł. Ona to wiodła i poganiała zmordowaną, śmiertelną glinę. Ona to uczyniła, iż ciało ciężkością swą nie opuściło się na dno.

Jeszcze rzut jeden i znalazł się na dachu z dwu opartych o siebie płyt lodu. Tędy przebiegł po zgrzytających pod nim taflach na twardy jeszcze pomost, który, jak widać było, przytyka do brzegu. Omylił się jednak. Między pomostem lodowym a brzegiem rozwarła się przerębel długości kilkunastu kroków.

Wzdrygnęło się ciało, lecz zanim w świadomości pojawił się sprzeciw, powstaniec znowu już płynął. Po paru minutach dotknął brzegu.

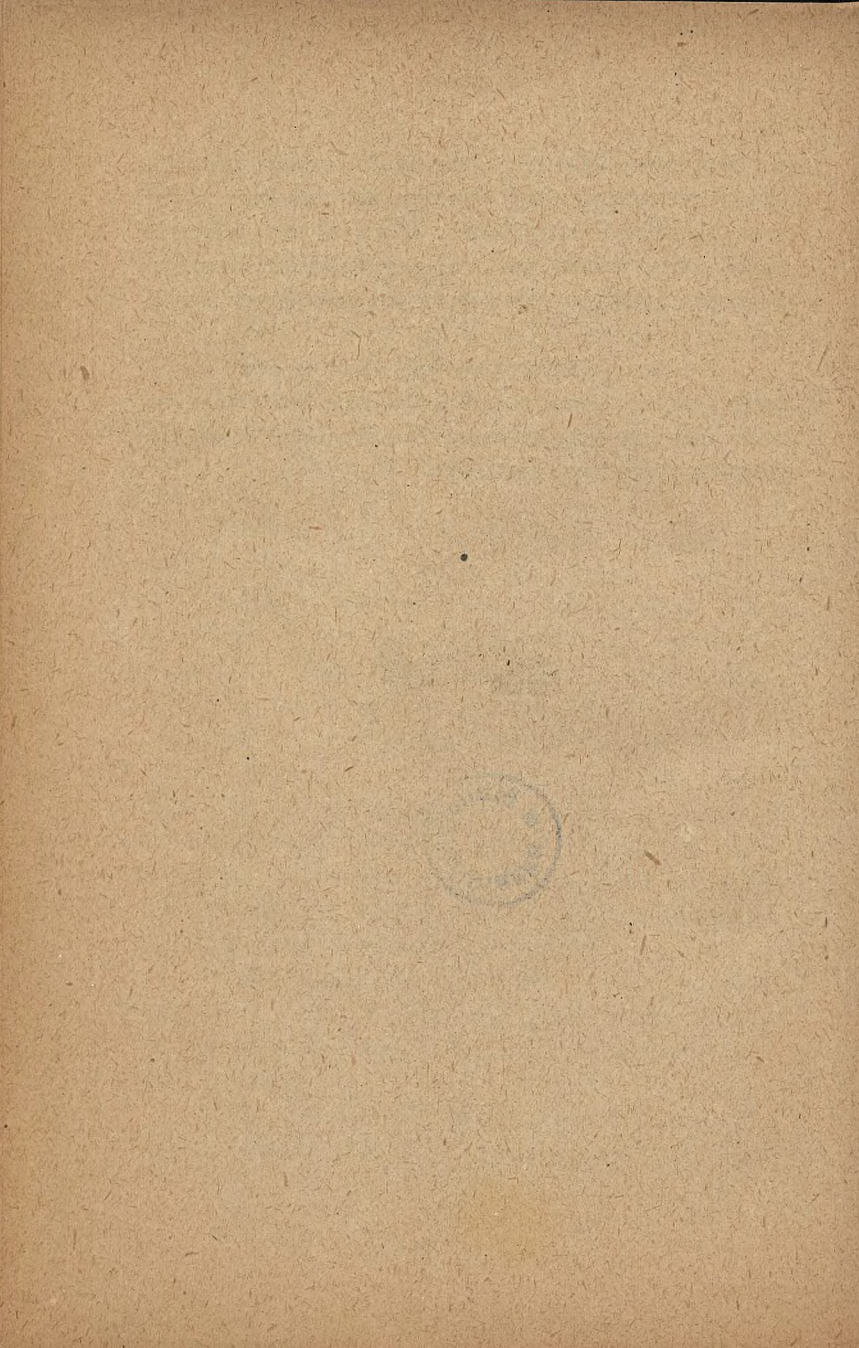
Niby pocałunek ziemi, rozeszło się doznanie ciepła lubego, gdy kolano ugrzęzło

w błotnistej glinie. Nie stało czasu na modły i westchnienia. Natomiast jął się odziewać szybko i sprawnie. Zajrzał do wnętrza torby, czy woda nie zniszczyła dokumentów, poczem krokiem szerokim a spokojnym wstąpił do lasu.

Ze wszystkiem zatuliły go przed mściwem okiem bronzowe kolumny starodrzewu, a w uszach ciągle jeszcze szumiały szelestne pogwary ojczystej rzeki.

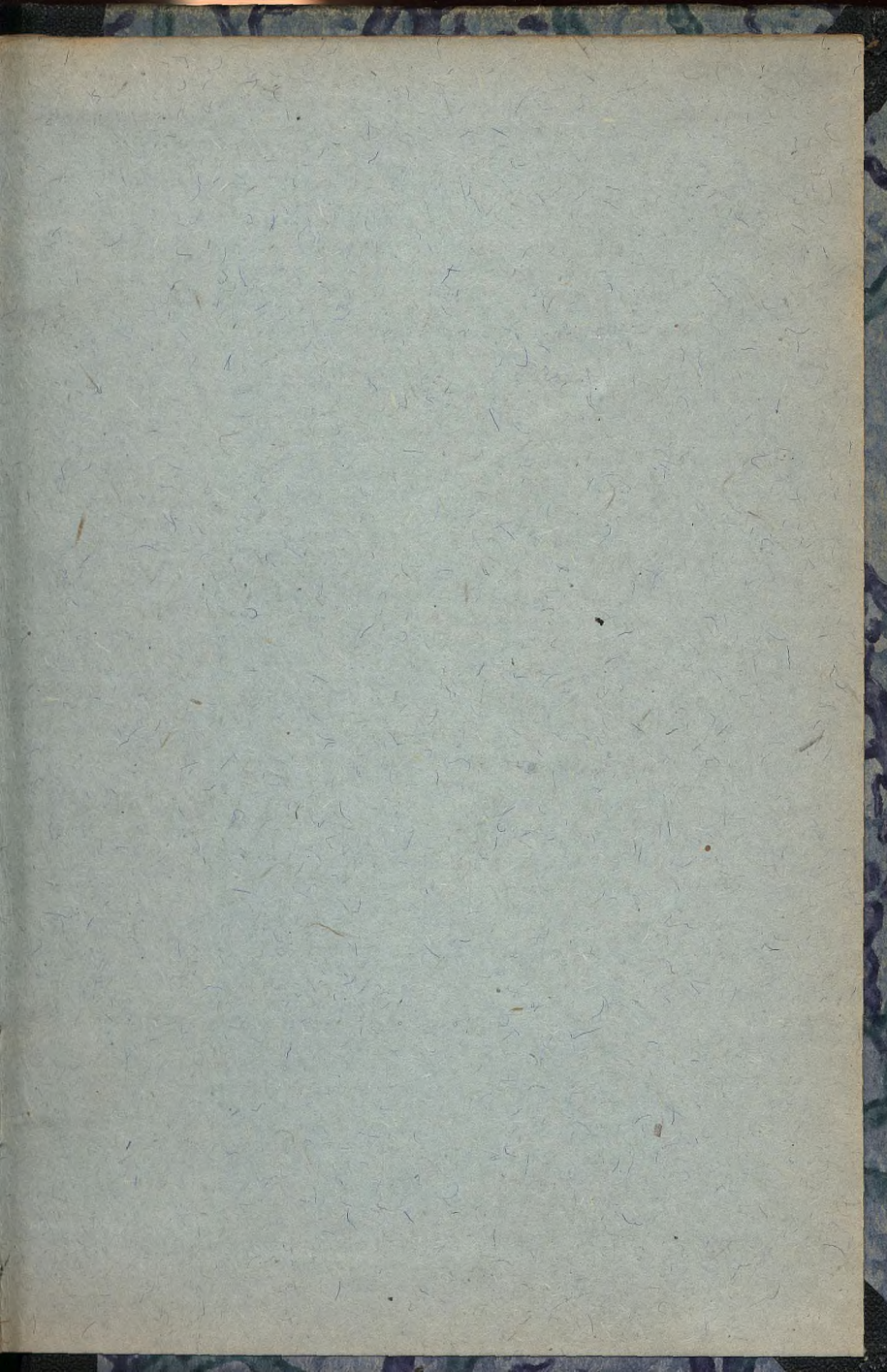
Pisane w r. 1913





SPIS RZECZY:

Paskareczka	5
Pierwsza Wigilja	51
Bestja Złowroga	61
Sąd	67
Szpieg	77
Maska Pośmiertna	89
Powstaniec	109



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000252125



I 406485

